

Haanpaa Pentti

POMYSŁ GUBERNATORA

Przełożył z fińskiego Bolesław Mrozewicz

Tytuł oryginału: Jauhot

1.

Jasny słoneczny dzień połyskiwał jak miedź, jednakże w blasku wschodzącego słońca było coś bezsilnego, matowego, mroźnego. Bo dał już znać o sobie wiatr z Północy. Dął pełnym miechem, szybował z rozpostartymi ramionami ponad otwartym krajem, którego kres w dali wyznaczały błękitnawo mieniące się pagórki i ciemne lasy; pośrodku rozpościerał się smutek trzęsawisk i topielisk. Tu i ówdzie migotały wodne połacie, które przechodziły w jeziora, zastygłe oka cichych stawów lub też ciemne wstęgi rzek.

Tuż w pobliżu wody i na wzgórzach, które ciągnęły się w dał, ludzie wyryli swe ślady: jeszcze nikłe w stosunku do rozległych połaci lasu i potężnych bagien. Małe zielone źdźbła zboża zakołysały się niespokojnie, gdy nadleciał wiatr Północy - surowy parobek, który nadciągnął gdzieś z pokrytej lodem tundry lub też białych równin Morza Polarnego i przeraził ludzi.

Owoce pól obrodziły wyjątkowo tego lata; jęczmień, ziemniaki. Jednakże chłop przeczuwał, że nie oznaczało to nic dobrego - próżne obietnice, nie dary! I słusznie - teraz, gdy surowy wiatr Północy szybował ponad nim - wiedział, że nadszedł ten, który w tym kraju także i latem jest częstym gościem: mróz. Nawet, jeśli pole było małe, to mówiło się o własnych rocznych plonach. Trzeba będzie zrezygnować z wielu bochnów chleba, z wielu garnków wypełnionych kaszą. A wszystko to było już tak blisko, w zasięgu ręki. Wystarczyłoby ją tylko wyciągnąć. Teraz wszystko jednak znikło jak zaczarowane, jakby rozpląnęło się w nicość.

Dlatego chłop z troską badał wiatr, gdy na obrzeżach strumieni i bagien ostrzył kosę lub składał na kopki wysuszoną, zmieszaną z mchem trawę: skromne dary skąpej ziemi. I aby znaleźć tę nędzną paszę, przemierzył chyba z dziesięć kilometrów przez bagna i wrzosowiska z chlebakiem na ramieniu i beczułką kwaśnego gęstego mleka. Zebranie paszy na zimę dla krowy nie było wcale radosnym świętem plonów!

A teraz nad krajem szybował wiatr Północy; ciągnęło od niego lodem, stapał się on z mroźnym oddechem bagien i trzęsawisk, którego z dna nic wyciągnęłoby nawet słońce. Szalał przez cały dzień, dopiero pod wieczór uspokoił się i zadowolony rozpostarł nad ziemią mróz, który przyniósł ze sobą z obcych okolic. Czerwona kula słońca staczała się za nieboskłon, a z bagien i jezior podniosły się natychmiast zimne opary. Leśny świat stawał się coraz bardziej zimny; owijał się lodowatą mgłą jak żałobnym welonem. Mróz zabierał się chyżo i zręcznie do dzieła. Jego oddech zmrażał każde zielone źdźbło i zabarwiał je na białe. Wkrótce cała zieleń pokryta była szronem i śniegiem.

Zimowa przyroda wywierała na człowieku przygnębiające wrażenie. Nie dawała mu spokojnie spać. Wyszedł, więc ze swej szarej chaty, a szron i mgła zrodzone z oddechu

potężnego złego ducha odbijały się w jego oczach. Nie trzeba było nawet sprawdzać zmrożonych kłosów. I bez tego wiedział. Jedna jedyna przeklęta noc zabrała mu chleb, roczne plony...

Mroźna noc - dobrze znana w Finlandii. Nie był to jednak tylko przymrozek, jak działo się to co roku, przymrozek, który oddechem bagna tylko trochę nadgryzał obrzeża wsi oraz wykarczowane niedawno biedne gospodarstwo. Był to prawdziwy posepny ziąb, który wkradł się do środka wsi i na szare pola, kładł się na łagodnym brzegu jezior i wspinał aż do szczytów pagórków.

Jak zły duch z legendy pochłaniał chciwie w krótką letnią noc ludzki chleb.

Juhani Lunki obudził się tego rana bardzo wcześnie i wyszedł z chaty. Właściwie była to karykatura chaty: szara i zbutwiała, z pochylonymi przez wiatr ścianami i jednym maleńkim oknem, w którym rozbitą szybę zastąpiono gontami. Na dach składała się poszarpana kora i połamane krokwie. I jedynie komin z kamieni i gliny, wysoki na trzy czwarte metra świadczył o tym, że tam tlił się ogień, a domowe ognisko dawało człowiekowi ciepło.

Tu otwierał się kawał historii z czasów zasiedlania Finlandii. Wiele lat minęło od chwili, gdy te zbutwiałe obecnie belki wychyliły swe noski z ziemi jako - pędy sosenki; rosły i grubiały powoli, powoli pod północnym niebem. Następnie powalił je topór człowieka, zbudowano z nich domostwo, które pachniało świeżą żywicą. A dym z ludzkich siedzib rozprzestrzenił się nad pustkowiem, będącym i dziś nadal bezludziem.

Las jak okiem sięgnąć i przygnębiające bagna. Tu i ówdzie połyskuje kawałek jeziora, a w oddali niebieskie pasmo wzgórz. Pierwsi osadnicy żyli chyba z darów lasu i wody. Być może unosił się też w powietrzu dym. Dym wypalanych lasów i smołami. Człowiek kładł swą rękę na matce ziemi. Małe poletko otaczało chatę. Może też i dziecko biegało po podwórku.

Jednakże odważny atak na lasy i wiatry Północy zakończył się całkowitym niepowodzeniem. Dlaczego, nietrudno zgadnąć. Miejsce to robiło chyba dlatego tak ponure wrażenie, bo nie pojawiał się nikt, kto by dalej prowadził dzieło. Chata stała przez długi czas opustoszała. Wrzos, mech i pędy drzew wdarły się na małe poletko, a po rowach odwadniających pozostał jedynie ślad.

Potem pojawił się Lunki, dzisiejszy mieszkaniec obejścia, którego nazywano „Południowcem”, gdyż przybył z południa, lub też „Człowiekiem z Głuszy” po dawnej nazwie samotnej zagrody. Lunki wziął Głuszę w posiadanie, naprawił nieco chatę, która groziła zawaleniem i wymurował w jednym z kątów, tak jak to potrafił, coś w rodzaju paleniska. Od właściciela ziemi uzyskał chyba pozwolenie, by tam zamieszkać. Dzierżawę płacił w rybach, gdyż łowił ich pod dostatkiem. Zabrał się też za uprawianie ziemi. Przekopał kawał pola i

wkrótce na ścianie chaty zawisły lęty ziemniaczane, a nawet liście tytoniu; teraz szron ufarbował je na szary kolor.

O ile rośliny były karłowate, to sam chłop był wysoki i toporny, czarny jak diabeł i, przede wszystkim na twarzy, owłosiony jak pies. Stał teraz przed chatą, równie wysoki jak ona, a oszroniona' ziemia parowała przed nim od jego uryny. Mgła opadała powoli, jednakże słońce nadal chowało się za ścianę chmur, która wznosiła się po wschodniej stronie nieba.

Oczy mężczyzny rozblęły pod krzaczastymi brwiami. Zamruczał głośno przed siebie, tak jak był do tego od dawna przyzwyczajony:

- No i na dobre zima... Piękna niespodzianka dla leśnych ludzi!

Szkody wyrządzone przez mróz nie wydawały się zbyt duże na własnym polu. Poszło tylko parę garści ziemniaków. Ale myśli mężczyzny sięgały jak się wydaje dalej.

- Dlatego to wszystko... dlatego - mrucał.

Zapiął guzik od spodni i odwrócił się. Na oszronionej trawie pozostała mokra plama, która się szybko rozszerzała, oraz ślady wielkich stóp i wielkich brzydkich palców. Gdy mężczyzna otworzył drzwi, powiedział głośno i wyraźnie:

- Ciężko będzie teraz zdobyć mąkę!

Wszedł do izby, która wypełniona była w jednej trzeciej paleniskiem zbudowanym z gliny i kamieni. Pod oknem, w którym gonty wstawione zamiast rozbitych szyb sprawiały niesamowicie smutne wrażenie, stał mały, brudnoszary ze starości stół. Na podłodze, także zabarwionej brudem lat, stało parę pniaków do siedzenia, a na kuchni i stole parę brudnych półmisek i garnków. Pod tylną ścianą ustawiona była prycza, pokryta wysuszonymi i świeżymi gałązkami. Leżała na niej kobieta oraz prawie pięcioletni chłopiec.

Mężczyzna rzucił się także na szeroką pryczę. Tak jak i pozostali domownicy położył się w ubraniu; było ono porwane i usiane lśniącymi łuskami ryb. Wyprężył się i zaczął powoli nabijać fajkę; następnie zaciągnął się mocno dymem, aż fajka w końcu opadła na szeleszczące listowie.

Wszyscy mieszkańcy chaty spali. Czynili to zresztą bardzo często.

Ale tym razem sen nie trwał długo. Kobieta zbudziła się i wzdychając podniosła z liści. Była zaokrąglona, miała szarą twarz i sprawiała wrażenie zmęczonej i apatycznej. Rozpaliła jednak ogień pod kuchnią, nalała z drewnianego wiadra wody do zakopconego garnka na kawę. Znalazła też nieco grubo zmielonej kawy i sól, nawet i kawałek cukru. Wypiła dwa blaszane kubki słabego wywaru, siorbała głośno i z rozkoszą. Widać było po niej, że chyba nigdy nie piła czegoś bardziej smakowitego.

Następnie zabrała się do budzenia rodziny.

- Mąka... Miałaś przecież mąkę... - lamentowała. Ciągłe powtarzała te słowa, niezmordowanie, głosem jak z katarynki. I nawet gdy zdawało się, że jej lament jest bezsensowny, to jednak osiągnęła swój cel. Juhani Lunki otworzył oczy i spojrzał z wściekłością na żonę spod krzaczastych brwi, która jak ptak dalej monotonicznie podśpiewywała. Juhani nie mógł zrozumieć, jak ta smutna istota mogła mu tak dokuczać. Prawdę powiedziawszy, była ona jeszcze mniej energiczna i bardziej leniwa niż on sam - bezduszny kloc.

- Przecież teraz nie dostanie się mąki! - odparł ostrym głosem.

W nocy przespacerował sobie ktoś, kto zadbał o to, by musieli na straty spisać więcej mąki niż w ubiegłych latach. Nawet pyłku nie da się znaleźć: O mąkę trzeba było starać się wcześniej! Znalazła wreszcie temat, na którym mogła się wyżyć. Teraz takim biedakom jak mieszkańcy z odludzia nie uda się dostać mąki.

- Panie Boże! - jazgotała kobieta. - Musimy ją koniecznie mieć! Inaczej umrzemy z głodu...

Chłop kręcił się na pryczy, a potem wyprostował:

- A co komu po nas.

- A nasze dziecko, nasz Pekka?

- On przecież z tej samej gliny.

- To chyba ja będę musiała pójść. Jakże ja mam nieść worek mąki, przecież jestem chora?

Tak, choroby należały do tych rzeczy, którymi gospodyni Reeta najbardziej się interesowała. W niej samej ujawniały się, jak się jej wydawało, wszelkie możliwe symptomy - burczenie w żołądku i temu podobne. Wydawało się jej, że choroby te skręcały się w jej wnętrzu jak kociaki. Choroby ją wręcz zachwycały: mogła o nich rozmawiać bez końca! Niezależnie od tego, czy ktoś słuchał, czy też nie. Poza tym była ona wytrwałą i nawet zręczną żebraczką, gdy przychodziła do ludzi. I jak głupie ptaszysko powtarzała z ponurym spojrzeniem swą nieustanną śpiewkę od rana do wieczora. Nic dziwnego, że chłop chętniej wałęsał się po parafii. A teraz powiedział: - Spróbuję. Tak, spróbuję.

Po wypiciu łyka czarnej kawy Juhani Lunki zbierał się co drogi. Ogolił się dokładnie, z niemałym trudem, gdyż brzytwa nie należała do najostrzejszych. Następnie wyjął niedzielne ubranie ze skrzyni na odzież, którą zbudował własnymi rękami - osobliwy mebel, ustawiony na pniach drzew, jak tron myśliwego z głuszy. Gdy Lunki przybywał do wsi, udawał w zależności od potrzeby dumnego i milczącego lub ożywionego i rozmownego. Rozmawiał chętnie także z kobietami, klepał je nawet od czasu do czasu swą szeroką łapą po tyłku. Natomiast teraz

wkładał do tornistra uplecionego z kory brzozonej soloną rybę, którą miał zamienić na mąkę.

Tymczasem obudził się chorobliwie blady, gruby chłopiec. Po chwili ten pięcioletni pędrak siedział na progu i zaciągał się dymem z małej fajki, którą wystrugał mu ojciec.

- Pozwól mu rosnąć, jak chce - powiedział ojciec Juhani. - Mnie trzymano jak w dybach.

Słońce świeciło już od dłuższej chwili i szary szron roztopił się w nicość jak istota ze świata duchów. Ale łąty kartofliska zwisały bez życia, zwinęły się i czerniały powoli; ulegały gwałtownej, trującej śmierci, tak jak i łąny zbóż Północy. Poletka chłopca nie oferowały mrozowi rzeczywiście zbyt wiele - było tego nie więcej niż na posmakowanie.

Reeta szła przez podwórze z drewnianym wiadrem wypełnionym wodą i śpiewała:

Po zaszczyty sięga narzeczony oraz wszyscy, którzy idą za nim.

Nawet powolny Pekka teraz się ożywił. Szedł ponuro jak młody byczek za swą matką, pociągnął potężnie z fajki i powiedział po męsku:

- Do diabła, kobieto, daj mi piersi!

Lunki, który miał zamiar właśnie wyruszyć, oparł się o saunę, najnowszy, trzeci budynek, który zbudował własnymi rękami. Była ona zdumiewająco, mała. Jak mógł pomieścić się w niej potężny gospodarz? Zbudował saunę błyskawicznie z nieokorowanych pni jodły - ze szpar zwisał przerażająco czarny mech. Juharii Lunki wyglądał wspaniale w swym wprawdzie jeszcze niełatwym, ale też i niezupełnie czystym ubraniu, gdy stał tak oparty o ścianę. Na plecach tornister, czarny kapelusz nasunięty głęboko na czoło, by chronić zaróżowioną od golenia twarz. Błąkał się teraz na niej osobliwy uśmiech.

- Przynieś też kawy, jeśli dostaniesz! - wołała za mężem Reeta.

Gdyby ktoś mógł czytać w myślach Juhaniego, to zauważyłby, że rozmyślał właśnie o tym, co powiedziałyby jego ciotki z dalekiej południowej Finlandii, na widok sceny, która dopiero co rozegrała się w obejściu. Widząc zachowanie się Pekki, rozdziawiłyby gęby ze zdumienia; te ciotki, które uważały, że tak dobrze potrafią wskazać ludziom właściwą drogę... Gdybyż mogły to zobaczyć! Coś nie do opisania! Baby nie zastanawiałyby się wcale nad tym, że tu była przecież jedynie do dojenia matka Reeta. Nie przypuszczałyby też, że tak długie dawanie piersi miało zapobiec pojawieniu się nowych potomków. A taki klnący i żądający piersi pięcioletni chłopczek nie mógł stanowić zachęty do zwiększania liczebności parafii i zaludniania pustego kraju.

Juhani Lunki, tak jak to było w jego zwyczaju, kroczył ścieżką powoli, w zamyśleniu, z pochyloną głową. Chyba nikt wcześniej nie przewidziałby, że kiedyś żyć będzie jako zagrodnik na odludziu wśród olbrzymich bagien. Przybył z daleka. Ale obecnie starzy mieszkańcy

puszki udawali, jakby wiedzieli to i owo o jego przeszłości. Opowiadali sobie, że miał on ponoć za sobą sporą część seminarium duchownego. Jakaś ciekawska starucha zapytała go, dlaczego rzucił studia.

- Spadło na mnie objawienie - powiedział - i czarna plama na moim tyłku zrobiła się mniejsza.

Według starych wierzeń ksiądz powinien mieć czarny tyłek.

O Juhanim Lunkim wiadomo inne jeszcze osobliwości. Miał on rzekomo kogoś obrabować, nawet zamordować i potem jak Kain uciec w bezludzie, by schronić się przed ramieniem sprawiedliwości. Niezależnie od tego, jak się rzecz miała: był bez wątplenia wielkim grzesznikiem i nie znosił, gdy ktoś przypominał mu jego przeszłość.

Wędrując napotykał kilku sąsiadów. Pracowali przy sianie na łące nad „Złym Rowem”. Słyszał ostrzenie ich kos. Nad ogniskiem unosił się dym. Niezbyt wyrosnięty chłopak gotował właśnie kaszę. Klęczał obok garnka, z łyżką w ręku i wyglądał na bardzo zmartwionego, i...?,-.

- Czemu się martwisz? - zapytał go Juhani Lunki podchodząc do ogniska. - Czy coś się nie udało?

- i Kasza jest przesolona, smakuje jak trucizna - wyjaśnił chłopak. - A ojciec to taki, jak... On klnie zawsze, że aż trzeszczy, tak jakby płonął krzak jałowca.

- No to nie da się nic innego zrobić, tylko musisz dolać wody i potem mąki, tyle, ile potrzeba. Na szczęście garnek nie jest pełny...

Po tej radzie udzielonej przyjaznym głosem Lunki usiadł, by odpocząć w pobliżu płonącego ognia. Tornistrem oparł się o pień świerku. Zionał przed nim czarny otwór, wejście do małego szałas. Lunki palił fajkę, a chłopiec mieszał warząchwią w garnku, który wisiał nad ogniem. Wkrótce zawołał ludzi do jedzenia, a po chwili usłyszeć można było ciężkie kroki zbliżające się od strony bagnistego rowu. Spoza kęp wierzb wyłonił się mały i krępy, przywodzący na myśl okonia mężczyzna; za nim szło dwóch wyrostków. Mężczyzna zajrzał do garnka, który chłopiec zdjął właśnie z ognia; gdy zobaczył olbrzymią ilość kaszy, stanął jak wryty. Wyglądał jak żołnierz, który otrzymał rozkaz.

- Boże miłosierny!

Miał właśnie zamiar zacząć porządnie krzyczeć, gdy zauważył ciemną postać Juhaniego z fajką w zębach i zmienił swój zamiar.

- Do diabła, mamy przecież gościa!

- Tak, gościa, choć może nie tak ważnego jak ten z minionej nocy.

- Ten gość nic nam nie pozostawił. Ale ty nie stajesz się przez to biedakiem...

- Cóż, to samo pomyślałem i o tobie. On bierze, co znajdzie, nawet jeśli nie ma czego...

Obaj sąsiedzi nie mieli o sobie najlepszego zdania. Aapeli Kurtti był nowym osadnikiem i wydarł leśnej ziemi kawał uprawnego pola; był ulepiony z innej gliny niż Juhani Lunki. Urodzony w tej okolicy wyruszył swego czasu w zimne pustkowie, tak, jak to się działo w tamtych czasach: z żoną i dzieckiem, krową i tornistrem z brzozonej kory. Postawił dom i wykarczował stosunkowo duży kawał ziemi. Jednakże mrozy i inne nieszczęścia sprawiły, że życie stało się ciężkie, a on sam szorstki i kłótlivy. Ciągle musiał walczyć z biedą. Lecz jeśli chodzi o dzieci, to życie jego było bardzo owocne. Był nimi obdarzany, niezależnie od urodzajów. Najstarsze, w podartych ubraniach, pomagały już ojcu. A dla Juhaniego Lunkiego odludzie pozostało odludziem, nie mógł tego zmienić ani on, ani też jego potomkowie. I tu jasne stawało się, że nie brał on swego życia za poważnie, że jego królestwo nie należało do tego świata.

Kurtti i jego synowie usadowili się wokół garnka. Mieli nawet żółte masło, które wduszali w kaszę jak oka. Ponadto chleb do przegryzania i kwaśne mleko do picia. Pracowali pilnie drewnianymi łyżkami, a ojciec Kurtti grzmiał:

- Ale nagotowałem nam kaszy! Jakby chciał iść w zawody z kucharzem z ostatniej nocy, tak jakby w zimie mąki było jak śniegu...

Chłopcy pracowali łyżkami w milczeniu. Ojciec łamał chleb i wyjaśniał:

- Obedrzemy korę z sosen, chłopcy. Teraz ona jeszcze tak nie przywarła. Nie da się bez tego obejść, trzeba żyć jak zając.

A potem dodał: - Wystarczy jeszcze i dla gościa. Chodź, Południowcu, jedź z nami! Rozejrzyj się za czymś, byś mógł nabierać kaszę...

Juhani Lunki wypróżnił swą fajkę. Na ziemi znalazł kawałek kory, który miał mu służyć za łyżkę, i usadowił się w kręgu. Chociaż potężnej postury, nie należał do tych, którzy dużo jedzą. Wydawało się, iż myśli, że czas na to przyjdzie później...

Jedli - chleb trząsał między zębami, siorbali kwaśne mleko. Wiatr przynosił cierpkie i słodkawe zapachy roślin - zapachy jesienne, które oszczędził mróz. W cieniu jodłowego lasu śpiewał ptak.

Nagle wszyscy się poderwali. Na brzegu ogniska zaszeleściła cętkowana żmija, rzadkie stworzenie w tych okolicach. Podniosła główkę, zaszczała, patrzyła szklanymi oczami i zaczęła oddalać się zygzakowatymi ruchami. Ale wówczas skoczył jak błyskawica Aapeli Kurtti. Schwycił palik, na którym wisiał garnek i zaczął nim walić w pełzające zwierzę.

- Odważyłaś się aż dotąd, ty diabelskie nasienie! - kłął. - Ty przeklęty gadzie!

Wkrótce zwijająca się żmija wisiała na widelkach palika. Odwracała na wszystkie

strony główkę i ciągle otwierała pyszczek.

- No nie, co za gad! - wymyślał Kurtti. - Można się przecież przestraszyć, gdy się niespodziewanie zobaczy...

W czarnych jak smoła oczach Juhaniego błysnęła jakby iskierka spod krzaczastych brwi.

- Przypomina odległe czasy, gdy na świecie panował ród jaszczurów, na lądzie, w powietrzu i wodzie. Człowiek był wtedy niepozornym stworzeniem, które ciągle musiało bać się o swoje życie. Ale w końcu potęga gadów została złamana. Była to jednakże długa, trudna walka, człowiek nie pamięta już tego. I jeszcze dziś jest przestraszony, gdy zobaczy pełzające zwierzę, nawet jeśli jest to tylko niepozorny robak. Czasy panowania rodu jaszczurów minęły...

Tej gadaniny Aapeli Kurtti nie rozumiał, co za osobliwa, głupia rzecz! Nie miało sensu zaostżanie topora wariata przez zadawanie ciekawskich pytań. Poprzez takie niedorzeczności Południowiec ciągle na nowo udowadniał, że nie jest normalny... Oczy Kurttiego spoglądały zimno i pogardliwie, zajęty był jedzeniem.

Juhani Lunki już skończył. Zapalił fajkę, podziękował za jedzenie, podniósł się powoli i zbierał się do drogi. Kurtti patrzył za nim i widział, jak pomiędzy drzewami i krzakami znika kołyszący się tornister.

- Co to za typ? - spytał ze złością. - Ten huncwot! Przecież opowiada jedynie głupoty, ten...

Juhani szedł i szedł. Minał wielkie bagno, które po jednej stronie otwierało się jak morze. Nazywano je „Bagnem nad kładką”, gdyż mieszkańcy odludzia przemierzali je przy pomocy kładek i małych mostków.

Drewno było wprawdzie często zmurszałe i wciskało się głęboko w czarne błoto, ale ludzie przechodzili. W kilku miejscach bagna stały mocne i wyprostowane, szare, obumarłe sosny, które wyglądały jak duchy. Jak długo mogły już tak stać? Kilka drzew było wywróconych. Leżały tam zbutwiałe i porośnięte mchem, a upiorny szkielet ich pnia i gałęzi tworzył fantazyjne obrazy powolnego, lecz niemiłosiernego działania czasu. Ileż lat mogło minąć od chwili, gdy w gałęziach tego martwego drzewa szumiał wiatr, a głuszczer żerował do syta na jego igłach?

Bagno przechodziło stopniowo we wrzosowisko, na którym sosny wyrastały jak czerwienią mieniące się słupy. Powiew wiatru muskał wierzchołki, gdzieś w lazurowym przestworzu krzychał jastrząb. Mężczyzna z tornistrem szedł dalej i dalej. Pokonał małą kotlinę, w której rosły brzozy i olchy. I wówczas wyrosło przed nim wzniesienie, na którego szczycie, pośrodku pól, wznosił się szary dom. W jaki sposób to wysokie, wystawione na

wiatry miejsce otrzymało nazwę Korte?

Na zboczach rozciągała się polana otoczona wysokim płotem. Oparty o płot stał mężczyzna średniego wzrostu, blady i smukły. Na pierwszy rzut oka można było poznać po nim, że jest pędziwiatrem, był jak lotne nasienie roślin, które przenosi nawet najłżejszy podmuch wiatru. Był to Jaako, właściciel gospodarstwa Korte. Mimo iż wyrósł na odludziu, był beztroskim, wesołym człowiekiem, który zyskał sobie sławę znawcy koni i bywalca na jarmarkach. Nie bez powodu mówiono o nim jako o wielkim pijaku i graczu, zręcznym tancerzu i uwodzicielu kobiet. Należał niewątpliwie do tych ludzi, którzy bez wysiłku mogą przetrwonić gospodarstwo. A przy tym nie był wcale naturalnym dziedzicem Korte: do rodziny wcisnął się jako zięć. Ożenił się z jedyną córką na gospodarstwie. Była ona nieopisanie brzydka, mało miała zatem szans na zamążpójście, a Jaako Patsi, jak się wtedy nazywał, potrafił doskonale gawędzić. Było to z pewnością bardziej wartościowe niż jakiś tam korzec ziarna... I tak został panem starego okazałego gospodarstwa, a wkrótce też i synem marnotrawnym. Brzydka gospodyni, mimo choroby płuc żywotna jak kot, starała się na wszelkie sposoby zapobiec jego pomysłom i wypadom.

Tego to mężczyznę napotkał Lunki, gdy mozolnie wspinał się do góry. Stał on oparty o ogrodzenie i przypatrywał się źrebakowi.

- Zobacz, co to będzie za skoczek - powiedział na powitanie. - Koń jak ptak! On musi gnać jak wiatr...

Przez chwilę jeszcze rozводził się nad przyszłością źrebaka. Następnie wyznał:

- Wczoraj wypilem mnóstwo spirytusu, ale nawet nie uderzył mi do głowy. Daremne wysiłki. Żadna to korzyść, gdy się ma łeb jak koń...

Rozmawiali bez przerwy, dwaj mężczyźni, z których żadnemu się nie śpieszyło. Słychać było przede wszystkim głos Korte, a Lunki przytakiwał swą dużą głową. W końcu okazało się, że Lunki szuka mąki.

- Mąki? - powiedział beztrąsko gospodarz. - Jest w Korte, i normalny człowiek zawsze coś dostanie... Masz ryby w zamian? Oczywiście tych płoci są czerwone, ale można je pogryźć, gdy się pociągnie do tego łyk.

Szli pod górę do domu. Śmieszne frędzle kołysały się na odświętnych butach Kortteina. Po jednej stronie drogi rozciągało się kartoflisko, smutne szare, po drugiej kołysały się kłosa jęczmienia, osobliwie białe i lekkie.

- No cóż, mróz dotarł i tutaj - zauważył Jaako Kortteinen - chociaż jest to, jak się powiada, bezpieczne miejsce.

Widać było, że tym się nie przejmuje. Wyjaśnił:

- Ale do spichlerzy mróz się nie wdrze!

Dotarli na szczyt, stał tam dom Korte, szary i mocny, jednakże i on był już stary, o wiele za stary. Porośnięte mchem ściany zapowiadały rychłe zawalenie.

Lecz widok, jaki roztoczył się po drugiej stronie wzniesienia, zaskoczył Lunki, który chadzał ścieżkami pustkowie. Za wąskim jeziorem wznosił się kościół i dzwonnica, spadziste szare dachy, na ścianach połysk farby. Tam na dole leżała jak na otwartej dłoni wieś parafialna Kaira, której pola - dla Lunkiego, przyzwyczajonego do małych poletek - wydawały się ogromne. Stało tam jeszcze wiele domów, niektóre pomalowane na czerwono. Stąd droga prowadziła na południe...

- Ja spoglądam na to z góry! - powiedział z dumą gospodarz.

W zagrodzie Korte panowała cisza lipcowego dnia. Ludzie byli prawdopodobnie na łące. Kortteinen zniknął w domu, wkrótce Juhani Lunki, który przystanął na schodach, usłyszał kłócące się głosy: jasny i wyraźny chłopa oraz zachrypnięty i gniewny jego żony. Głos jej przywodził na myśl krakanie. Nie ma kluczy, nie ma mąki! Z tego będzie tylko wódka, a to doprowadzi jeszcze do czegoś, o czym nawet trudno pomyśleć... A co będzie dalej z robotą przy sianie? Wiadomo przecież, że gospodarz to ladaco! W przerwach wyraźny głos Jaako Kortteinena: gospodarz zwykł pracować wtedy, gdy uważa to za stosowne oraz ma na to ochotę... A po tym znów kraczący głos, który wkrótce jednak zamarł w ataku kaszlu. Krótco po tym pojawił się w drzwiach lekkomyślny gospodarz w swoich butach z frędzelkami. Wzruszył ramionami, a mina jego wyrażała wstręt zmieszany ze współczuciem.

- Podła! - powiedział cicho. A zwrócony w kierunku Lunkiego dodał prawie wesoło:

- Nie do wiary! Kobieta schowała klucze od spichlerza! I nie da ich. Wydaje się być w złym humorze.

Juhani Lunki skinął w milczeniu swą potężną głową. Właściwie powinien być to dla niego duży cios, gdyż poza tym nie znał innego człowieka, którego dłoń by się otworzyła, który byłby tak szalony lub szlachetny, by worek mąki nie był dla niego zbyt dużą sprawą... Wszyscy jeszcze pamiętali dokładnie mroźną noc; a to zmieniało postać rzeczy. Teraz zaś okazało się, że Lunki nie mógł dostać mąki od Kortteinena, nawet gdyby ten miał jej pod dostatkiem w spichlerzu... Niektórzy chcieli, by i on pobiegał za nią.

Stali przed dwoma spichlerzami, których drzwi okute były żelazem bardziej, niż to było potrzebne.

- To mój poprzednik tak zabezpieczył drzwi - wyjaśniał Jaako Kortteinen. - Najprawdopodobniej przed rabusiami. Ale z pewnością da je się otworzyć. Tak, łomem można przecież otworzyć swój spichlerz!

- Nie, nie w taki sposób...

- Nawet i nie trzeba! Stary Polso ma mąkę, a Jaako Kortteinen ma tam przecież otwarty kredyt! Powiedz tylko, że ja zapłacę jeśli ty nie możesz...

Po tej obietnicy Juhani Lunki powiosłował pożyczoną łodzią do osady Kaira. Było tam pusto i spokojnie, chłopci pracowali przy sianokosach. Smukła wieża kościoła pokazywała, jak wskazującym palcem, na niebo, a wokół spoczywali zmarli - pośrodku pól, które sami zmusili do dawania plonów. Być może głęboko pod ziemią uśmiechali się chytrze przeżartymi przez robaki szczękami myśląc o małych pólkach, które swymi paznokciami zaorywali w dziczy...

Juhani Lunki rozmyślał. Gdzie są umarli? Co porabiają? Może błakają się wokół, mając dość dłuższy wieczności, błakają się znudzeni i zniecierpliwieni...

Cóż, kiedyś i te drzwi się otworzą, otworzą się także dla biednych, którzy nie mają prawa wstępu. Juhani cieszył się, że przynajmniej oczekiwało go jakieś ciekawe wydarzenie, przeżycie, przygoda, która nikogo nie omija...

Ale to wielkie przeżycie i przygodę chciałby przesunąć na trochę później - nie tak gwałtownie, raczej stosunkowo beznamyślnie - opóźnić trochę swoje przybycie, gdyż życie na tym świecie też było dość interesujące. Przede wszystkim wtedy, gdy człowiek zdawał sobie sprawę z tego, że kiedyś trzeba będzie się z życiem pożegnać.

I tak Lunki wszedł do sklepu w osadzie. Nad drzwiami rozdzwięczał się dzwonek. Brzmienie jego było niepokojąco radosne, chociaż sklep był pusty. Pachniało dobrobytem, dostatkiem mąki i soli, kawy i cukru, nafty, liści tytoniu i wieloma innymi rzeczami. Fala zapachów wdzierała się do nosa.

Dopiero po chwili pojawił się kupiec. Wyszedł z radosnymi oczyma, które wkrótce jakby przygasły: To tylko Południowiec, ten dureń, nic nieznaczący klient, którego można porównać z myszą.

Kupiec Polso był olbrzymim kłocem tłuszczu o potężnym brzuchu jak ogromna piłka lub pagórek. Juhani Lunki musiał się bezustannie na niego gapić. Jak też człowiek może stać się takim? Najwidoczniej toczyła go jakaś choroba! W sercu Lunkiego odezwało się współczucie: temu człowiekowi życie nakłada olbrzymi ciężar, ciężar własnego ciała! Ale może tak właśnie musiało być. Robaki będą w każdym razie miały dużo do jedzenia...

Ta góra mięsa i mężczyzna z głuszy walczyli teraz o worek mąki, który miał odwiec wielką przygodę Lunkiego. Oparli się o ladę, każdy po swojej stronie, a głęboko osadzone małe oczka Polso żywo się skrzyły. Tu trzeba było się mieć na baczności.

Na kredyt? Nie ma mowy. Tym bardziej teraz, kiedy przyszedł mróz. I nie wiadomo, jak ukształtują się ceny. A poza tym Południowiec ma dawne długi...

Nie są one duże? Panie Boże, jak wielkie mogą być u takich ludzi? Tak, tak, ryby? Jeszcze pewnie pływają! Cóż to jest za barachło? Z pewnością prawdziwe rybnie ości, którymi można się udławić! One nie mają przecież żadnej wartości... Ptaki i skórki, gdy przyjdzie zima? Ależ nie, Bóg dał Topiasowi Polso na tyle rozumu, że nie da kredytu żadnemu wędrownemu ptaszкови... Ścinać drzewa? Czy słyszano, by Południowiec potrafił ścinać drzewa? Ponadto teraz kupiec nie potrzebuje drewna...

Jaako Kortteinen daje gwarancję? No tak, znalazł się odpowiedni obwieś. Przecież on sam ma wokoło długi! Jego poręczenia nie są warte złamanego szeląga!

Długo rozwodzili się nad tym - raz w jedną, raz w drugą stronę. Juhani Lunki z uśmiechem wokół ust, rozśmieszony tym, jak jego propozycje działały na Polso. Lecz w głębi cielska połyskiwały mądrze małe oczka kupca: jego opór nie został złamany. A potem Lunki miał już tego dosyć. Spoglądał ze złością spod brwi i dał do zrozumienia, że należy do tych ludzi, z którymi lepiej żyć w zgodzie.

Topias Polso przypomniał sobie, że Południowiec był czymś w rodzaju poety, co rzeczywiście pasowało do takiego narwańca. Klecił wiersze, które nigdy nie umierają. Śpiewało je dzisiejsze pokolenie, a i przyszłe będzie je także śpiewać. A tego kto go zdenerwował, niszczył swymi pieśniami. Coś takiego trzeba było słyszeć: uczta pogrzebowa, że lepiej nie trzeba.

Bardzo niezręczna sytuacja! Lecz Polso nie należał do tych, którzy swe worki mąki wysypują na wiatr. Takiego postępowania nigdy by sobie nie wybaczył.

- Słuchaj, Południowcu - powiedział z surowym spojrzeniem - tu nic tak nie pomoże jak pieniądze. Połóż na stół za każde kilo dwadzieścia pięć penni, to dostaniesz mąkę. Wtedy ci ją dam, mimo iż cena po nieudanych żniwach wzrośnie.

- Zbyt twarde warunki - odpowiedział Lunki - nie da rady.

Mimo wszystko zmiękczył twardego jak kamień Polso do tego stopnia, że mógł zamienić solone ryby w tornistrze na porządną paczkę tytoniu - na czarne „rosyjskie liście”. Wiedział przecież, że nie tak łatwo teraz zdobyć mąkę.

Usiadł na brzegu jeziora i palił. Czy ma spróbować gdzieś indziej? Może na plebanii? Tam mąka jest na pewno, ale tam był też ten mężczyzna, który zważał, by mole i mróz nie zżarły wszystkiego i by złodzieje nie wynieśli rzeczy. Ludzie, którzy mieszkali na skraju wsi i nie płacili podatków, byli dla niego bez wartości. Szczęście, że pastor nie wykreślił go ze swych ksiąg, tak że nie musiał wykrzykiwać w czasie egzaminu z umiejętności czytania: Juhani Lunki, żebrak... A i Lunki nie miał ochoty stanąć twarzą w twarz z komisarzem, służącym państwa, którego cygaro kopało bez przerwy. Ów to mężczyzna był zdania, że Lunki to

potomek szeroko rozgałęzionej rodziny, który zszedł na manowce. Jeśli nawet jego przodkowie przez stulecia wiernie służyli państwu i kościołowi, to on sam nie był niczym innym jak chwastem! Dasz mu korzec mąki, to i zło nabierze rozpędu i jeszcze się rozprzestrzeni! Tak myślał człowiek z cygarem... Ponadto było jeszcze kilku chłopów, bogobojnych i dobrodusznych. Lecz jeśli Wszechmocny uważał za słuszne, by ludek doświadczać nieudanyymi zbiorami, to po co mieli się w to mieszać, by tego grzesznika Lunkiego oszczędzić! Nawet nie jest ich współwyznawcą. Swe spojrzenia kierują oni w przyszłość, wyżywają się w swoich sektach i wykrzykują: „Bogu niech będą dzięki!” Również dla bogobojnego człowieka było rzeczą pocieszającą, gdy wiedział, że sąsiadowi wiedzie się gorzej niż jemu samemu...

Tak więc Lunki był zadowolony, że mąkę mógł poszukiwać nadal tylko w myślach. Mąka! Czyż to takie ważne?! Kiedyś dziadek jego powiedział, że ludzie żyli zupełnie przyzwoicie bez mąki. Dopóki jakiemś żądnemu reform szaleńcowi nie przyszło do głowy, by zająć się zbożem i mąką... Juhani Lunki mógłby zgodzić się z takim poglądem - chociażby dlatego, że nie mógł zdobyć mąki. Mógłby wrócić do swej chaty na odludziu, rozgryzać ościste ryby i chrupać leśne jagody...

Spoglądał przez chwilę wzdłuż szarobrunatnej drogi wiejskiej, która wiła się na południe, westchnął, podniósł się i zepchnął łódź na wodę. Wkrótce też przebył wąskie jezioro. Następnie wspiął się na wzniesienie Korte, przeszedł obok cichego domu, który stał niski i szary. Uśmiechnął się ukradkiem w blasku wieczornego słońca jak starzec, w którego uśmiechu ukrytych jest tyle rzeczy.

Lunki nie wracał jednak tą samą drogą, którą przyszedł, lecz wybrał do tego celu o wiele dłuższą, wiodącą wokół bagna ścieżkę. Nie miał w tym wcale żadnych specjalnych zamiarów, jedynie chęć, by zobaczyć Kurtiego, pracowitego osadnika z zapadłego lasu. Czegóż to on nie zrobił: zbudował izbę, wykopał rów, uprawiał pole, płodził dzieci...

Szedł dłuższą dróżką, ponieważ wtedy przechodziło się obok domu Kurtiego położonego nad brzegiem bagna. Nosił on nazwę „Oltava” („Osiądź tutaj); Oltava - człowiek musi mieć przecież jakąś siedzibę, gdy przychodzi na świat.

Tutejsze nazwy domostw dużo mówiły. W głębokich lasach schowane były obejścia, które nazywały się „Płacz”, „Niedostatek”, ale także i „Trud”. Kartoflisko z Oltava także było czarne, a zamrożone, zbielałe kłosa jęczmienia ledwie kołysały się. Ale co to bielilo się i błyszczało tam na szarym ogrodzeniu? Tak, pasmo kory sosnowej na mąkę, podstawowy składnik czerwieniącego się chleba. Kurtti był zręcznym człowiekiem, szybkim w działaniu.

Mignęły płowe główki dzieci i głośny wrzask malców wdarł się w pustkowie; były to najsilniejsze dźwięki drapieżników, jakie można było tu kiedykolwiek usłyszeć. Nawet jeśli

Kurtti wykarczował spory kawałek fińskiej ziemi, to było to nic w porównaniu z tym, że miał do wychowania pełną chałupę Finów. W tej dziedzinie święcił największe sukcesy. Wszystko inne mróz mógł zabierać...

Jak ten człowiek to wytrzymawał, co myślał? Z pewnością nic. Jego rozum pałętał mu się między nogami, tak jak u większości mężczyzn. Ale życie Kurtiego było być może nawet pikantne, prawdziwe, szczęśliwe, a przeklinał jedynie dla przyjemności.

Ale człowieka idącego leśną dróżką, w którego tornistrze dudniła głucha pustka, opanowało dziwne bolesne uczucie. Podobny był do zjawy, która wyrwała się ze świata duchów, był błakającym się, zmęczonym życiem wędrowcem.

Było już bardzo późno, gdy Juhani Lunki dotarł do swej małej zagrody. Słońce miało właśnie zamiar skryć się za wzgórzem, a cienie stawały się długie i ciężkie.

Mężczyzna przystanął w cieniu drzew za maciupenką sauną i zdawało się, że nad czymś rozmyśla. Na twarzy jego pojawił się osobliwy, obłąkany uśmiech. Zdjął tornister z pleców, wyciągnął pusty worek i zaczął go na siebie wytrząsać. Z worka kurzyło się tak, że mężczyzna wkrótce był jak młynarz pokryty pyłem z mąki.

Pobiegł truchtem do izby; kobieta i chłopiec spali już na pryczy.

Czy rzeczywiście Reeta spała? W każdym razie natychmiast się obudziła i spytała: - Dostałeś coś?

Wydawało się, że od stóp do głowy pokryty jest mąką. Reeta na próżno czekała na odpowiedź.

- Mąkę? To żaden rarytas. Jest jej tyle na świecie, takie kupy, jakich ty, nieszczęsna kobieto, nie potrafisz sobie nawet wyobrazić.

Kobieta chodziła tam i z powrotem, stękała i wzdychała. - A więc zlitowano się jeszcze raz... Zrobię zaraz zacier.

Postukiwała mątwią w mizernej drewnianej misie.

- Zostawiłeś *mnie* na dworze?

Mężczyzna usiadł przy stole. Leżał na nim cały stos upieczonych na węglu ryb i nawet kawałek chleba.

- Nasze spichlerze można w mig przeszukać. Reeta wyszła, lecz za chwilę wróciła skarżąc się.

- Nie mogę nic znaleźć.

Juhani Lunki zajadał z przejęciem, spoglądał jednakże ukradkiem i ciekawie spod swych brwi, tak jakby nie mógł nasycić się widokiem zachowania Reety.

- Nie zawsze można znaleźć to, czego się szuka.

Kobieta wyszła ponownie i pozostawała na zewnątrz przez dłuższą chwilę. Wróciwszy zawodziła.

- Nic nie znalazłam. Nie ma przecież mąki! Ach, ty potworze! Nie dostałeś niczego! W tornistrze jest tylko pusty worek.

Rzuciła się na pryczę, bezsilna, jak wyżęta ścierka.

- No to ja sama z chłopakiem będę musiała pójść - słyszał jej szloch. - Wiem przecież, jak to będzie bez chleba...

Juhani Lunki skończył jedzenie i wyciągnął się na posłaniu z gałęzi, z fajką w zębach. To nawet nieźle, że pójdziesz, pomyślał. Chodzenie jest zdrowe dla takiego leniwego kloca jak ty. On sam pójdzie łowić ryby. Ma parę porwanych sieci i jeden haczyk. Zawsze napatoczy się jakaś głupia ryba, która odda swe życie, by pewne wielkie przeżycie czekające Juhaniego jeszcze trochę się oddaliło.

2.

Czasy, gdy naród miał do jedzenia tylko chleb z kory i ufał w dobroć Boga, należały już dawno do przeszłości. Aż do osady Kaira dotarła ufność w moce ziemskie, które istniały nie tylko po to, by gnębić lud podatkami i przymusowymi egzekucjami, lecz które mogły im podać pomocną rękę, gdy mróz i niedostatek rozpostarły się nad odległym krajem.

Myśl taka błąkała się przynajmniej pod rzadkimi, siwymi włosami po głowie naczelnika gminy, gdy w swej szarej izbie zanurzał stalówkę pióra w kałamarzu i pisał. Miało się wrażenie, że to zwinna mysz przemyka przez puste i głuche pomieszczenie, by poszukać czegoś do gryzienia.

Naczelnik gminy Kaira pisał o nieurodzaju, o zmarzłym na pniu zbożu, z którego mąki dało się upiec chleb jedynie wtedy, gdy ciasto w celu zachowania spoistości włoży się do drewnianej formy. Ubijaki rozdrabniały korę sosny, chrzęściła słoma, a człowiek na wyścigi z reniferami gromadził porosty. Ciężko leżała biednym na żołądku taka papka z kory. Stawali się przygnębieni, chorowali. Czy państwo nie mogłoby wyciągnąć pomocnej dłoni do głodującego odległego okręgu?

Naczelnik gminy włożył pismo do koperty, która potem zamknięta w pocztowym worku rozpoczęła swą podróż na południe. Droga wiła się, czasami strzelała prosto przez wzgórze, lasy i bagna. Mosty nad potokami huczały pod kopytami koni pocztowych, wozy podskakiwały, a liczne pomalowane na biało kamienie odmierzające kilometry stały jak zawsze nieruchomo. Poczta była w drodze, na koźle siedział brodaty starzec, skórzana torba i duży worek leżały na podłodze wozu. Krajobraz zmieniał się, płaszczyna rozpościerała się równomiernie jak ogromny placek, na którego brzegu znajdowało się miasto i bezbrzeżne

morze.

W mieście mieszkał gubernator, postawny mężczyzna, okaz zdrowia o czerwonej twarzy i łysinie, podobnej do szczytu nagiej góry. Martwił się potajemnie tą łysiną i smucił się, że śmierć zabierała się już na nim do dzieła - postępowała od góry w dół. Zmuszało go to do rozmyślań nad tym, czy osiągnął już wszystko w swoim życiu: gubernator to już wielki pan!

Jednakże myśl, że osiągnął już szczyt możliwości, oraz widok swej głowy muśniętej przez śmierć, nie były wcale przyjemne. Pamiętał stale o tym, że tam, na dalekiej Północy byli jeszcze więksi panowie niż gubernator. A człowiek żył po to, by się pięć do góry.

Przed tym właśnie mężczyzną leżało pewnego dnia pismo naczelnika gminy Kaira - pismo o nieurodzaju, który dotknął ten okręg - wraz z pokorną prośbą o środki zaradcze. I okazało się, że nie na próżno pióro naczelnika w szarej izbie dalekiej Kaira przemykało po papierze. Pod łysą czaszką powstała myśl, że powinno się pomóc biednym ludziom z tego regionu. Nie jałmużną, wywołującą gnuśność, lecz odpowiednio płatną pracą, przywracającą ponownie siłę życia, którą sparaliżował mróz.

Gubernator odbył krótkie narady z ludźmi, jego zdaniem zorientowanymi w tej sprawie i wkrótce miał gotowy plan: zaproponował, by państwo podało pomocną dłoń temu obszarowi, w formie prac publicznych. Wydał polecenia i wkrótce na białym papierze skrzypiało pióro. Podanie rozpoczęło swą podróż do kancelarii na południu. Dobrze było przypomnieć o tym, że daleko na Północy był jakiś okręg, a w nim gubernator, który nie miał zamiaru zapadać w niedźwiedzi sen.

I tak pisma jechały w sapiącym pociągu, leżały w szufladach i na stołach, szeleściły w czystych i miękkich palcach, były czytane, a ich brzeg pokrywał się jakimś ważnymi bąkami. Wywoływały one słabą, zmęczoną myśl, iż gdzieś w oddali panuje głód, i że państwo powinno otworzyć kiesę, która jest bez dna, jak kapelusz magika. Gubernator - uparty w swej samotności - wymieniał tak wysokie sumy, że można by za nie umieścić w hotelach ludność całego okręgu... Coś trzeba było jednak zrobić, gdyż utarło się, iż państwo ma jakieś zobowiązania w latach mrozu.

Sumy w piśmie zmniejszyły się w poważnym stopniu, a potem udało się ono w sapiącym pociągu w powrotną podróż na Północ. Gubernator otrzymał pismo z ostrą uwagą, że możliwości państwa są ograniczone. Jak bym nie przemyślał sprawy, pomyślał gubernator i poprawił swe rzadkie włosy na łysinie.

Jednak terenom, które najbardziej dotknięte zostały przez nieurodzaj, przyznano pewną sumę na prace publiczne. Z tego także i parafia Kaira otrzymała pokaźną część. Tej nazwy gubernator nie zapomniał, gdyż stamtąd przyszło podanie, które przyczyniło się do powstania

jego planu. Wydawał się on jemu teraz bardzo ważny; przez to i on sam stawał się ważnym człowiekiem.

Dowiedział się, że było tam wielkie bagno, „Bagno nad kładką”. Trzeba by kazać wykopać rowy odwadniające - prosto do siedliska mrozu? A potem zbudować drogę przez to bagno, coraz bardziej na północ. Tam byli przecież też osadnicy i rzeczą naturalną byłoby, żeby uprawiali ziemię, na której chcieli mieszkać.

Jeszcze inny pomysł dojrzewał pod łysą czaszką gubernatora: Mieszkańcy rozległego obszaru żyją jak dzieci, które nie wiedzą, co jest dla nich najlepsze. A teraz państwo musi ich wspierać w walce o życie, które na surowym odludziu rzeczywiście nie jest łatwe. Oni nie potrafią uporządkować swego życia. Gdy dostaną pieniądze do rąk, roztrwonią je jak dzieci. Są jak wiadomo bardzo łakomi na kawę. I na wódkę. Gubernator sam widział paru biedaków stojących przed sklepem z wódką przy małej drewnianej beczulce. A potem znowu nie mają mąki i podobni są do biblijnych krów okresu chudych *lat*, które w żaden sposób nie staną się bardziej tłuste.

Gubernator widział w myślach wiele czarnych kociołków do pędzenia wódki. I tak ludzie ci nigdy nie wychodzili z nędzy. Z kotłów wydobywała się ciągle para, ofiarny dym dla bożka biedy. Czy ma sens, by statki żeglowały przez wielkie morza i przywoziły kilku kobietom ziarno kawowe? A jak ma się rzecz z tym płynem, który wygląda jak woda, a nią nie jest? Płynem, który chlupocze w drewnianej butelce mężczyzny powracającego z miasta?

Tak oto wyniszczają się sami, trwonią oprócz swoich pieniędzy drogie pieniądze państwowe. Ale to się teraz skończyło. Z pieniędzy państwowych, o które postarał się gubernator, by odnowić życie regionu, nie wolno wydać niepotrzebnie ani jednego penni! Gubernator jest człowiekiem, który potrafi przeszkodzić temu, nawet jeśli wydaje się to niemożliwe. Jeśli nawet na łysinie nic więcej nie rośnie, to tym więcej rozumu tkwi pod łysą czaszką. Tam kiełkują wielkie i nowe myśli.

Gubernator rozporządził więc, że zatrudnieni przy robotach publicznych mają zapłatę otrzymywać wyłącznie w mące. Był zachwycony jasnością i przenikliwością własnego pomysłu. Niech czort igra teraz z mieszkańcami odludzia, jak chce - oni przynajmniej napęlnią brzuchy prawdziwym chlebem, aby mogli pracować...

Twarz gubernatora zaczerwieniła się, łysina błyszczała jak uśmiechający się księżyc. Nie miał pojęcia - bo i skąd - jakie to wydarzenia w gminie Kaira wywoła jego wielki pomysł. Myśli krążyły mu leniwie pod czaszką, tak, jakby ktoś wrzucił do worków z mąką trochę drożdży, które znajdowały się jeszcze w jakimś magazynie w mieście. Leżały tam niewinnie białe i okazałe - zwyczajne worki mąki, po których nie można było poznać, że kiedyś zawartość

ich ulegać będzie fermentacji i krążyć przez szereg zwojów jelit, aż gdzieś w końcu rozsypie się na wietrze. Drzemały w nich nieobliczalne możliwości - załączki czynów i wydarzeń.

A to tylko dlatego, że gubernator wpadł na wielki pomysł.

Mijały dni - dla jednych powoli jak chód ślimaka, dla innych szybko jak lot ptaka. Każdy wykonywał swą pracę. Padało, liście opadały z drzew, a potem nadeszły jasne jak szkło mroźne dni. Ziemia zamarzła, wreszcie pokrył ją miękki, biały śnieg.

Pomocna dłoń państwa była gotowa, by wyciągnąć się w stronę głodujących z Kaira dopiero wtedy, gdy na stole znalazł się połyskujący chleb z kory. Włożone do drewnianej formy ciasto pieczono w piecu; nie w każdym wprawdzie, jednakże z pewnością we wszystkich ukrytych w głębokich lasach chatach nędzy, w których było dosyć brzuchów do zapchania.

Pomoc państwa sięgała teraz aż do okolic Kaira, od komory celnej miasta na wybrzeżu w postaci długiej kolumny trzydziestu sań, na których leżały białe i nabite worki mąki. Transportowane były z daleka, aby ludziom z Kaira napełnić żołądek. Zboże wyrosło i dojrzało w krajach czarnoziemów, na równinach Rosji. Na wybrzeżu Bałtyku zmeł je Niemiec w swoich wielkich młynach, statek przeorał morze, robotnik portowy dźwigał worki, a kupiec je policzył. A teraz trzydzieści koni ciągnęło je do Kaira, w większości zwichrzonych, smutnych kreatur, na których swoje piętno wycisnęły liczne ciężary. Bo w okolicy Kaira żyło wielu woźniców, którzy corocznie przywozili towary, przeważnie mąkę, brakującą na odludziu.

Częścią pomocy państwa była więc i karawana sań z gminy Kaira. Mróz zabrał zboże, trzeba więc było wykorzystać każdą możliwość zarobku, trzeba było gromadzić pieniądze jak głodny ptak ziarnka. Trzydzieści koni pokonało ponad sto kilometrów do miasta bez ładunku - w saniach był tylko prowiant na drogę, marne siano, sieczka i puste worki na mąkę. Tylko nieliczni szczęśliwcy dostali beczkę smoły lub parę wiązek kory wierzbowej jako ładunek.

Podróż do miasta była rzeczywiście wielką wyprawą!

I chociaż kolumna sań była stosunkowo długa i wyglądała nawet okazale z wypchanymi workami, to nie sprawiała jednak radosnego wrażenia. Nie było słyhać wesołego rżenia i potrząsania uprzężą. Konie zachowywały się tak samo cicho jak ich powoźnicy, ci mężczyźni i chłopcy z głuszy w swych wytartych futrach i nieforemnych ubraniach z grubo tkanego sukna, w futrzanych czapach osadzonych głęboko na uszy, spod których wyzierały chude, surowe twarze. Na brwiach i brodach ludzi, na grzywach koni osadził się wkrótce po wyruszeniu szron. Sprawiało to wrażenie, jakby zimno i kłusający słony wiatr chciały dokonać poprawek w dekoracji.

Tak to pomoc państwa rozciągała się od dalekiego miasta znad morza aż do tego miejsca. Podkowy koni dudniły głucho, dzwoniła uprzęż, płozy sań skrzyły się na kamieniach,

gdyż droga tylko skąpo była pokryta śniegiem. Przygnębieni mężczyźni siedzieli w milczeniu na kozłach. Mieli za sobą ponad sto kilometrów, a te, które leżały jeszcze przed nimi, przesuwaly się zbyt wolno... Tylko kilku miało pieniądze, by odwiedzić sklep „brzydkiej baby”, gdzie przy oknie siedziała osobliwa papuga, która bez przerwy wołała „brzydka baba”, i gdzie dostawało się odmierzaną szczerze lurę wyglądającą jak woda. Ale na to trzeba było mieć pieniądze; a pieniędzy mężczyźni z ostępów leśnych prawie nie posiadali.

Tylko najzamożniejsi i najbardziej pożądlivi wychylili pożegnalny kielich, aby humor im się poprawił i aby nie dawał im się tak we znaki silny mróz i złe, ośnieżone drogi. Lecz jedynie Jaako Kortteinen, dla którego ten przeźroczysty jak woda płyn był ważniejszy niż chleb, był w stadium upojenia. Płyn ten chlupotał obecnie w wielu wiezionych pojemnikach. Każdy wiedział, że gospodarz z Korte często musiał podróżować w nagłych sprawach do miasta. A gdy tam dotarł i spił się jak bąk, zdarzało się to, co się zdarzyć musiało: pilne sprawy wyparowywały jak rosa z traw. Kortteinen był jednakże na tyle panem, że mógł wystawić dwa zaprzęgi do transportowania państwowej mąki. Drugim koniem powoził młody parobek, ale gdy gospodarz tracił przytomność, musiał troszczyć się o oba.

Jaako Kortteinen siedział więc z przodu na saniach, bełkocząc oraz gwałtownie gestykulując, rozmawiał z woźnicą, którego wziął na swój wóz jako kompana do picia.

Za nim ciągnęła swój ładunek mała i szybka klacz Aapeli Kurttiego. Także i nowy osadnik z Oltava chciał zarobić parę penni na przewożeniu państwowej mąki, chociaż zwykle czegoś takiego nie robił. Jego twarz podobna do okonia była wykrzywiona, nie tylko dlatego, że smagał ją ostry wiatr, lecz i dlatego, że nachodziły go gorzkie myśli. Czyż musiał akurat on mieć przed sobą tego opoja, na widok którego robiło mu się niedobrze! Ten typ, który wzenił się w gospodarstwo, w płodną, dobrą ziemię, siedział teraz i bełkotał bezustannie, a jasna butelka odznaczała się w trakcie picia na tle zimowego nieba. I taki to nazywał się gospodarzem! Natomiast Aapeli Kurtti budował swą zagrodę w zimnym pustkowiu już od dziesięciu lat i nie było temu końca, podobnie jak rodzeniu dzieci przez gospodynię z Oltava. A gospodarz Korte miał młodego, silnego konia i mały ciężar, gdyż ktoś, kto tak łatwo dostaje gospodarstwo, może pozwolić sobie na oszczędzanie swego konia. A mała, stara klacz Oltawy miała co ciągnąć, gdyż gospodarz musiał myśleć o wielu żołądkach napychanych chlebem z kory, i dlatego musiał załadować więcej worków niż należałoby...

Osadnikowi z Oltawy przyszło do głowy, że Jaako Kortteinen też był kiedyś tylko biedakiem, dopóki nie dowiedział się, czym należy ruszyć, aby odnieść sukces. A biedak niech wegetuje na ziemi tak długo, jak zechce!

Nagle Aapeli pociągnął lejcamy i zaklął na klacz. Chociaż wytężyła się, by utrzymać się

tuż za mocnym koniem Kortteinenena, złość Kurttiego wyładowała się na biednym zwierzęciu. Ale Kurtti nie mógł swego przekleństwa posłać w przestrzeń kosmiczną, tam, gdzie zdawałoby się, wszystko zostało tak niedbale urządzone!

I tak kolumna sań wlokła się powoli na Północ. Czasami rozciągała się bardzo, tu i ówdzie rozrywała, gdy słabsze zwierzęta nie mogły nadążyć lub, gdy zbyt przeladowane sanie wywracały się. Rozlegały się przekleństwa pod burzliwym niebem, które zaciągało się mrozem, strzelał bat...

W ciemności nocy i pośród skrzeczenia gwiazd docierali do miejsc wypoczynku, które im były dobrze znane, i do których wchodzili jak do własnych domów, niezależnie od pory dnia. W stajni i na podwórzu tłoczyły się konie, skrzypiało ramię żurawia studni, brzęczały wiadra z obrokiem. Co chwila otwierały się i ponownie zatrzaśniały drzwi przestronnego domu; na podłodze tworzyły się kałuże wody z topniejącego śniegu, który przywierał do podeszew butów. Przez izbę przetaczał się hałas i śmiech gości, a gospodarze byli z pewnością bardzo ośpiali, jeśli potrafili wytrzymać ten zgiełk i nawet w nim sypiać. Tak działo się prawie stale, przez cały rok. Dlaczego jednakże pozwalali, by ich dom stał się gościńcem? Cóż, potrzebowali miedziaków na odrobinę ciepła i na słabą kawę, na mleko i własnoręcznie warzone cienkie piwo. Za to musieli niejedno ścierpieć. Ponadto konie pozostawiały od czasu do czasu coś, czym można było nawieźć pole...

Z zewnątrz słychać było przeżuwanie końskich zębów. Ten ostry chrzęst przywracał mężczyznom chęć życia i nadzieję. Żuli mocnymi lub na wpół zepsutymi zębami, wielu nawet tylko gołymi dziąsłami. Niektórzy siedzieli cicho jak myszy pod miotłą, inni paplali, co im tylko przychodziło na myśl. Ta rozmaita paplanina osładzała im suche, skąpe jedzenie w czasie podróży. Także gospodarz z Oltava gryzł chleb z kory. Jaako Kortteinen był zupełnie zamroczony. Siedział i mruczał coś do siebie. Młody parobek musiał zajmować się obydwojma zaprzęgami, tak jak chciał i jak potrafił.

Odpoczynek był krótki. Nikt nie pozwolił sobie na drzemkę na ławie, na dużym piecu lub też na podłodze. Jeśli udało się to natomiast przy panującym zimnie, to mógł przecież trochę podrzemać w drodze. Człowiek miał lepiej niż jego zwierzęta, które stały na podwórzu w uprzęży. Mniej wyczerpane żuły bez przerwy siano, inne stały zmęczone ze zwieszonymi łbami i obwisłymi wargami - odwieczny obraz niemej cierpliwości. Nie potrafiły jedynie wydać z siebie westchnienia, wyrażającego ból i zmęczenie.

Odpoczynek był krótki. Ciemność pokrywała jeszcze ziemię, gdy wyruszono w drogę. Powoli karawana ciągnęła na Północ. Wkrótce musieli piąć się poprzez wzgórza, jedno bardziej strome od drugiego. Droga stawała się coraz bardziej uciążliwa. Konie ciągnęły i szarpały, były

zlane potem i pokryte pianą, drżały na całym ciele. Baty i przekleństwa trzaskały jak iskry ognia.

- Co za nędzne życie ma takie zwierzę - skarżył się jakiś mężczyzna o miękkim sercu.

- Nie potrzebuje ono zbyt wiele - grzmiał jakiś gniewny głos. - A te parę uderzeń bata, cóż to jest? Tacy jak my czują bat w sercu!

Wspinanie się do góry, nawet jeśli widok stamtąd był wspaniały, stało się prawdziwą Golgotą - przynajmniej dla koni, które swe ciche westchnienia słały w kierunku nieba. Może przechowuje się tam westchnienia wielu generacji koni. Kiedyś wypełnił olbrzymi wóz ciężarowy, który ruszy i popędzi w kierunku umęczonych stworzeń. Przestraszą się pojazdu z westchnieniami i zawłoką swe ładunki do rowu. Zwierzę nie jest mądrzejsze od człowieka, nie rozpozna więc swego wybawiciela. Ów drzemie być może jako embriion w mózgu jakiegoś fantasty. Zwierzęta musiały cierpieć, aby daleko w gminie Kaira można było jeść chleb. Muszą także i dzisiaj. Ciągłe jeszcze zwierzę musi stękać i znosić cierpienia oraz pomagać nawet mieszkańcom Kaira w zdobywaniu chleba. Nawet wtedy, gdy wybawca w postaci powozu pełnego westchnień pędzi po drogach kraju. I po co mamy się martwić o wybawcę, który starłby nas przecież jako coś nieprzydatnego z powierzchni ziemi? Życie jest pełne uciążliwości i mozołu.

Nadeszła więc chwila, gdy pomoc państwa sięgnęła aż do kościołów w Kaira. Jaako Kortteinen zakorkował swą beczułkę spirytusu, był znowu trzeźwy i jasno myślący, a pomimo to w dobrym humorze. O tak, widać było, kto miał dobre konie i kto się znał na dobrych przewozach. Nikt nie mógł się równać z gospodarzem Kor te. I żaden koń nie mógł stanąć z jego koniem w zawody. Dla kasztanka pastora lepiej było stać w stajni, leniwie i ospale parskać.

Przed wielkim spichlerzem, którego czerwona farba wyblakła wskutek upływu czasu, czekał gminny komitet pomocy dla dotkniętych klęską. Należał do niego komisarz policji, stary, zmęczony mężczyzna, tak samo bliski zgaśnięcia, jak i resztkę cygara, które tliło się w kąćniku ust. Gdy cygaro gasło, zastępowane było natychmiast nowym tłącym się badylem. Był to wieczny ogień z Kaira. Przewodniczył pastor, mężczyzna w sile wieku, średniego wzrostu, blady i chudy jak szczapa, o nic niemówiącej, sennej powierzchowności. Gdy go ktoś dotknął, otwierał oczy, a jego cała osobowość stawała się miękka, badawcza. Jednakże wierni uważali go za obłudnika. Jego twardy, chłodny głos wędrował ponuro po pustym, nieprzytulnym kościele. Ludzie mówili, że jest pastorem tylko dla zarobku. Ożywał się, gdy zgarniał powinności kościelne, zbierał nawet ostatnie okruchy, aby nic nie stracić. Ze swojej strony pastor Borgh sądził, że mieszkańcy Kaira przyjmują biedę jako wolę boską. Zaniedbywali

sprawy ziemskie, a wiarę interpretowali po swojemu: jeśli na tym ziemskim padole walczą w trakcie swego krótkiego życia o byt jako biedacy, to otwierało się przed nimi wieczne zbawienie, w którym nie ma biedy... Skąd byli tego tacy pewni? Niech tylko sobie nie wyobrażają, że pastor ulży im w ich życiu doczesnym, które przecież jest tak krótkie w porównaniu z wiecznością.

Do komitetu pomocy dla dotkniętych klęską należało też kilku chłopów. Jednym z nich był Veija Kataja, naczelnik gminy. On to napisał latem w swej skromnej izbie list do gubernatora. W kształtnych, okrągłych zdaniach, które wypływały spod jego zardzewiałego pióra, zdawało się drzemać ziarno gorczy. Ale takiego obrotu sprawy nie mógł przewidzieć w trakcie pisania, przynajmniej nie mówił o tym, mimo iż był księgowym i kasjerem komitetu pomocy dla dotkniętych klęską. Chodził sprężysto w swej futrzanej kurtce z jednego miejsca w drugie, w czapce nasuniętej głęboko na uszy i gładził swą kozią bródkę, pstrokatą kępkę włosów na brodzie. Nie słyszał, jak Jaako Kortteinen chwalił swe spocone konie, lecz podziwiał ładunki z mąką, które wyglądały tak wspaniale.

Och, co za worki! Białe i grube jak mrówcze jaja, na które chłopcy łapią ryby! Teraz w ludzi z Kaira znowu powróci życie.

Chichotał. Był wesołym człowiekiem, który tryskał wprost anegdotami i opowieściami. Osobliwe zjawisko wśród poważnych ludzi pustkowie. Szukał radości jak trzmiel miodu i znajdował ją też w zupełnie drobnych rzeczach, chociażby w zabawie małych kotków. Zdawał się uważać wesołość za obowiązek człowieka, chociaż sam z mozołem brnął przez życie i był człowiekiem wierzącym, laestadianinem *[* Laestadianizm - protestancki ruch religijny, uważany przede wszystkim za fiński, chociaż zrodzony w Szwecji. Jego twórcą i przywódcą był szwedzki duchowny Lars Levi Laestadius (1800-1861). Szczególny rozwój tego ruchu w Finlandii, Szwecji i Norwegii przypadł na drugą połowę XIX wieku. Ruch wspierany był intensywną ewangelizacją i słowami.]. Każdy wiedział, iż religijni współwyznawcy wątpili w jego wiarę i mieli mu za złe jego wesołe usposobienie. Lecz Veija Kataja wyjaśniał, że Pan nie zabraniał radości.

- Ale ty radujesz się na tym świecie! - zarzucali mu.

- Nasz Pan stworzył przecież świat dla nas, a Chrystus nie nakazywał być smutnym - odpowiadał.

Najczęściej udawało mu się ułagodzić ich pobożnymi słowami.

Wielki kaznodzieja pozwalał mu wejrzeć w nędzę swego życia i swe grzechy, a jemu nie pozostawało nic innego jak wstać, precisnąć się do stołu i wypowiedzieć się przed wszystkimi ludźmi. Gniewał się na swego bliźniego, poderżnąłby mu nawet gardło, gdyby nie

obawiał się ręki sprawiedliwości. Kradł i oszukiwał, był też niewolnikiem pożądania. Ale skrucha zmywała wszystko i teraz czuł się dobrze. Dlaczego miałby więc być smutny?.

Był wierzący. Ale często dochodziło do tego, że współwyznawcy patrzyli na niego z nieufnością, gdy żarty, jak gdyby nigdy nic, spływały z jego ust, a chichot rósł jak dobre ciasto. I tak sobie żył wesoło. Każdego poranka, gdy się obudził, wyskakiwał z łóżka jak iskra z paleniska, biegał zajęty to tu, to tam i opowiadał historyjki. Sen był dla niego marnowaniem czasu. Natomiast życie nie było wcale padołem płaczu. Teraz wychwalał mądrość gubernatora.

Ten człowiek rozumiał, jak mało znaczą pieniądze w porównaniu z boskim zbożem. Mąka, tak, kto jej nie potrzebuje, to nie potrzebuje niczego! I teraz dostanie się ją, jeśli się będzie tak kopać, że pot będzie spływał z czoła.

Przybywały coraz to nowe zaprzęgi, ciągnięte przez spocone, pokryte szronem konie. Wesoło dźwięczały dzwonki. Veija Kataja pomagał i rozmawiał z ożywieniem. Pilnował rozładunku i liczył worki. W mrocznym świetle starego, pachnącego zbożem spichlerza rósł biały stos. Worki rzucano z silnym rozmachem lub z wysiłkiem na górę, w zależności od tego, ile ramiona mogły z siebie dać.

Pastor i komisarz policji szybko zniknęli, załatwienie tej sprawy, która stawała się powoli nużąca, należało przecież do obowiązków księgowego i kasjera. Któż mógł wiedzieć, gdzie koniec tej karawany, jeśli konie były tak mizerne i zmęczone. W ciemności, która tymczasem rozpostarła się na ziemi, napotykali okrągłą sylwetkę kupca. Topias Polso był małym człowiekiem. Oczy jego błyszczały w nalanej twarzy. Także i on przyszedł, by obejrzeć powrót karawany sań i widać było, że go to niezbyt cieszyło. Nikt nie będzie kupował u niego mąki.

- Cóż to za pomysł - mrucał. - Jakby państwo nie miało pieniędzy, by je puścić w obieg. Sypie tylko do każdej ręki i gęby mąkę! Zapłacą jeszcze drogo za to, ci panowie w mieście.

- Być może - przytaknął mu komisarz - ale ma to też i dobre strony. Poza tym to rozporządzenie wyższej władzy.

- Z dachu, z nieba? - zakrakał Polso, oczka rzucały przy tym ponure spojrzenia. Wyjaśniał, że gubernator i mieszkańcy miasta, którzy sami chcą się wzbogacić i pogłębić kupców wiejskich, ulepieni są z tej samej gliny.

Panowie oddalili się w pośpiechu. Było ciemno. Nad nimi błyszczały gwiazdy, a pod stopami skrzypiał śnieg. Przyszło parę kobiet - te najbiedniejsze ze wsi. Ogromna ilość białego proszku życia poruszyła je i rozbudziła myśli, które szeptały sobie do ucha ostrymi językami; twarze miały okutane w chusty.

Tam więc, w ciemności murów spichlerza schowana była państwowa mąka, mąka dla biednych. Ale czy rzeczywiście dostaną ją ci, dla których była przeznaczona? Jakże łatwo worki mogły stamtąd zniknąć! I czy faktycznie matka ojczyzna żądała, by za nie trzeba było kopać? Mogłaby przecież i dać w innej formie, tak jak daje to dobra matka, ale ci panowie chyba sobie tak to umyślili. I czy wszyscy muszą na to pracować - także starzy i ułomni? I kto w ogóle kopie w zimie, gdy Pan Bóg każe ziemi trzaskać na mrozie że hej? Co za zwariowany pomysł! Spróbuj sam wbić łom w ziemię, a odskoczy. Tak twarde jest podłoże.

Tak paplały kobiety, podczas gdy worek za workiem znikał w mroku spichlerza, gdzie tliła się jedynie zakopcona lampa.

Ale gwiazdy na niebie mrugały wesoło do kuli ziemskiej, na której istniał zarówno mróz jak i upał, woda i góry lodowe. I gdzie uparcie jak robak, pełzał człowiek.

3.

Jeśli nawet w głowie huczało, a łomy odskakiwały od twardego podłoża, to rozpoczęto jednak budowę drogi od kościoła w Kaira na Północ. Z impetem wrywano drzewa z korzeniami, a na białej pości trzęsawiska odznaczały się ciemne pasma rowów odwadniających. Z odludzia Kaira napłynęli mężczyźni. Wielu miało za sobą wielokilometrową drogę na nartach: spokojni ludzie o zarośniętych, pobrużdżonych twarzach. Nosili podziurawione buty, łatane spodnie, porwane fartuchy robocze. Było też paru młodych. Przywiódł tu tych leśnych ludzi czar pękatych worków mąki. Już o świcie lód i zmarznięta ziemia huczały pod uderzeniami siekier i kilofów. Górna warstwa była niesamowicie twarda, jednakże pod nią, dokąd nie dotarł mróz, napotykało się wodnisty szlam, którego niewiele pozostawało na szpadlu. Zdawało się, że i ciepło tam się chowa, gdyż szare opary unosiły się w zimowym powietrzu. Stamtąd, z głębokości na sążeń, wydobywali zbutwiałe pnie drzew i kawałki kory z prastarych czasów. Opowiadały one o tym, że czas długo majsterkował przy naszej kuli ziemskiej, by zmienić jej krajobraz... A teraz miał być zmieniony po raz pierwszy ręką człowieka. Zdawało się, że bagniste podłoże się porusza. Chlupotało tam, skrzypiało, szemrało, furkotało jak stary kołowrotek, a osobliwe słowa docierały do uszu kopiającego, który powolnie wrzynał się w białą przestrzeń trzęsawiska.

Zdawało się, że zaszły tu Bóg wie jak wielkie zmiany. Ale czas robi swoje i skarija kanału odwadniającego zawali się i rozpadnie. Za kilka dziesięcioleci bagno będzie tak duże jak i teraz. Gdzieś na poboczu rowu rosnać będzie powykrzywiana sosna - pamiątka po państwowej mące, mące dla biedaków. A w innym miejscu uparty człowiek leśny uprawia motyką ziemię i marzy o przyszłych polach. Ale i te zostaną zdobyte ponownie przez żywotne bagno, gdy zawałą się rowy i pokryje je mech.

Ale starzec z Kaira nie myślał o tym, że jego dzieło ulegnie kiedyś zapomnieniu; poza tym mało go to obchodziło. Zarabiał mąkę dla siebie i swoich, którzy czekali w ukrytej w głuszy chacie.

Tu kopał Aapeli Kurtti ze swymi na wpół dorosłymi synami, tam machał łopata sam Juhani Lunki. Faktycznie - to wspaniałe, iż ktoś kiedyś dokonał odkrycia, jak trzeba ze zboża mleć mąkę. Lunki musiał pokonać swe lenistwo i zabrać się do roboty, by zdobyć mąkę. Wysoki i okazały, pracował dobrze, gdy tylko wpadł w odpowiedni rytm. Mocno machał szpadlem i rzucał olbrzymie grudy ziemi aż na skarpę głębokiego, szerokiego rowu. Nie wszyscy to robili. Kopał w milczeniu, zajadle i ze wściekłością, gniewało go to, że musiał pracować i nie mógł tego zmienić.

Gdy nastawał wieczór, wielu powracało na nartach do domu. Mróz ostro atakował mokrych od potu, pokrytych mułem mężczyzn. Ich wilgotne kurtki i spodnie zamieniały się w żelazny pancerz, mokre buty stawały się twarde jak kamień. W chałupach, stodołach i saunach na obrzeżu bagna było zbyt ciasno. Dlatego niektórzy wyruszyli na nartach w daleką drogę do osady.

Inni jednak obawiali się nocnej wędrówki na nartach - głównie dlatego, że rów odebrał im siły, lub też z tego względu, że buty ich były w nazbyt złym stanie i obawiali się, że w czasie jazdy palce zastygną im jak świece. Ścinali sosny na brzegu bagna, wznosili z gałęzi wał ochronny, rozpalali ogień pomiędzy dwoma równoległe ułożonymi pniami drzew i robili sobie pomiędzy ogniem i wałem legowisko z gałązek sosny. Kulili się tam nad kociołkiem z kawą i zjadali swój prosty posiłek. Następnie palili i rozmyślali o minionych czasach, podczas gdy nad ogniem suszyły się ich ubrania. W końcu wyciągali się na posłaniu z igliwia. Także i ta kwatera miała swoje ujemne strony: czasami robiło się zbyt ciepło, czasami budziło ich zimno lub iskra, która spadła na spodnie. Ale pod wysokim dachem, z którego spoglądały tysiące gwiazd, było wystarczająco dużo powietrza...

Nadeszła sobota i pierwsze worki państwowej mąki dla biednych powędrowały w ostępy Kaira. Lecz tylko w nielicznych przypadkach ciągnęły ją konie, większość nieśli do domów na ramionach mężczyźni. W chatach za drzwiami stał tego wieczoru pękaty worek. Stał tam na uboczu jak gwiazda, jak księżyc, które rozjaśniają ciemność i promieniują uczuciem bezpieczeństwa i dobrobytu. W garnkach kipiało, w drewnianej misie wypełnionej ciastem stukala mątew, pluskała woda...

Mąka, prawdziwa żytnia mąka, boskie zboże, nie były wcale taką drobnostką w lasach Kaira. Worek mąki błyszczał z kąta chaty naprawdę jak ciało niebieskie i rozjaśniał drogę życia.

Lecz Veija Kata ja, brodaty żartowniś nie był już wieczorem zachwycony pomysłem gubernatora, gdy wieształ na wadze worek po worku i odczytywał ich ciężar na skali: żaden worek nie posiadał przepisowej wagi. Także i inni mężczyźni zrzędzili, gdyż musieli pokonywać kilka kilometrów na nartach w odwrotnym kierunku, by otrzymać zapłatę. I dlaczego tylko mąkę? Człowiek potrzebuje też innych rzeczy...

- O ile się je dostanie! - zauważył Veija Kataja. - Ale można sobie gębę zapchać i mąką, tym bardziej, jeśli zmieszana jest z plewami...

Ten mężczyzna umiał pocieszać: musieliby i tak przyjść do osady, by kupić towar, gdyby płacono im pieniędzmi. Ale odważać worki, kierując oczy krótkowidza na skalę oraz dodawać i ujmować mąkę - to było już coś innego. Co za zwariowany pomysł gubernatora, że mąka nadaje się tak samo do zapłaty jak i miedziaki! Co jeszcze z tego może wynikać?

Ach ten gubernator! Należałoby go postawić na polu jak stracha na wróble, by przepędzał wrony. To byłoby odpowiednie stanowisko dla niego.

Tak to pocieszał się laestadianin, gdy męczył się odważaniem mąki. Takie bluźnierstwa nie były przez ludzi nawet uważane za grzech. Gubernator znajdował się daleko i niby zjawa ze świata duchów szybował gdzieś w obłokach. W jakim to sposób jakiś człowiek z odludzia Kair a mógłby go obrazić?

Niezadowolenie mężczyzn oraz fakt, że odcinek robót był bardzo rozciągnięty i poruszanie się wiosną, gdy nadchodziła odwilż, oraz latem stawało się uciążliwe, przyczyniły się do tego, że Veija Kataja postanowił przetransportować zapasy mąki do innego magazynu, na północne obrzeże bagna. Robił to sam, swoim koniem. Zarobek wychodził jego gospodarstwu na dobre, poza tym lubił wędrówki po okolicy, spotkania z innymi ludźmi oraz rozmowy z nimi. Czasu miał dosyć, gdyż kierowanie robotami spoczywało w innych rękach.

Tej zimy spadło niewiele śniegu. Nitka nowej drogi gminnej nie była przysypana. Podobnie było na starych zimowych traktach. Przyjemnie było siedzieć na furze i pozwolić koniowi iść tak, jak on chciał. W myślach pojawiły się wyraźnie obrazy z młodości. W przeszłości widział liczne okolice i wielkie miasta - Helsinki i Petersburg - oraz słyszał szum obcych języków. Ale znał też uboższe i bardziej bezludne okolice niż puste lasy Kaira. Na przykład Morze Północne, gdzie łowił ryby. Ciągle mu jeszcze tkwił w ustach smak morza, chociaż minęło już tyle czasu. Wówczas był jeszcze młodym mężczyzną, prawie chłopcem.

Gdzieś tam na szlakach swej młodości mógł założyć gniazdo - żyłoby się tam łatwiej, z pewnością dużo łatwiej. Ale pociągało go właśnie dalekie odludzie Kaira. Nigdzie nie czuł się tak zadowolony jak tutaj. Pod tym względem był podobny do ptaka: żuraw także powraca nad nędzne bagna, gdzie się urodził, chociaż w trakcie swej dalekiej wędrówki widział z pewnością

lepsze miejsca.

I tak wrócił też Veija Kataoja, ożenił się, powiększył i wzmocnił parafię i dopiero wtedy zauważył, że uwiązany jest jak bydlę do palika. Wkrótce też stał się jak ongiś Paweł, apostołem Jezusa Chrystusa. Nie było dla niego nic ważniejszego niż wiara w życie wieczne i przygotowanie się do sądu ostatecznego. Świat zdążał w kierunku zguby, najlepiej więc było grzać się przy ogniu wiary. Tylko tak mógł przetrwać zimną noc na padole ziemskim...

Drugie miejsce do magazynowania mąki znajdowało się w Salo. Było to dość biedne gospodarstwo na odludziu. Jednakże w porównaniu z innymi nie było ono najgorsze. W oborze stało pięć krów i jeden koń, a izba była pełna następców. Pojawiali się, jak wszędzie w Kaira, jakby wyciśnięci z tubki - nowa generacja.

Gdy Veija Kataja wjechał na podwórze z pierwszą furą, przywitał się z chłopem, który rzadko miał okazję do wymiany słów powitania, i powiedział śmiejąc się: - Przywożę dobre wieści!

Jednakże mina chłopca z Salo, którego znacznie broda postarzała, pozostała poważna. Oczy przybrały wyraz człowieka nieobecnego duchem. - A cóż to takiego? Czy masz może na myśli nową drogę?

- Ależ ty zawsze pragnąłeś ją mieć! - Kataja był zdziwiony. Ten chłop leśny uskarżał się nieraz, że żadna droga nie wiedzie do jego gospodarstwa, i że droga gminna chyba będzie się kończyć, tak długo jak on będzie żył, w osadzie gminnej.

A teraz ta obojętność, gdy pod jego nosem cud staje się faktem.

- To było wtedy. - Chłop z Salo uśmiechnął się. - Toż to nic innego jak dodatkowe obciążenie. Poza tym dojdą nią do zagrody wszelkiego rodzaju hultaje... Czy opłaci się więc, by człowiek się wysilał? Posiejesz, a potem przyjdzie mróz. Okaze się, że lepiej byłoby nie siać...

- Człowiek nie może zaprzestać siać i nie przestanie - odpowiedział Veija Kataja. - I skąd mamy wiedzieć, czy to dobrze, czy źle? Mróz przyszedł, ale my wykopaliśmy rów odwadniający i zbudowaliśmy drogę...

Chłop z Salo nie był jednakże zachwycony nową drogą gminną. Z niechęcią zgodził się opróżnić stary spichlerz na mąkę, o ile to było w ogóle potrzebne, gdyż i bez tego było w nim pusto.

Kiedyś był w Ameryce, o tak, swego czasu był przedsiębiorczym człowiekiem. Veija Kataja spoglądał na niego wyczekująco i starał się go wybadać. Cóż takiego dały człowiekowi las i samotność? Pełne trudu życie, biedę i obfitość dzieci. I na domiar tego mróz. Ten potrafił dokonać reszty!

- Wydaje się, że masz prawdziwy leśny nos - powiedział Veija Kataja.

- Jaki nos? - spytał chłop z Salo i gotowy był mu wziąć to niemalże za złe. Ale Veija Kataja potrafił chichotać i śmiać się pojednawczo.

- To jest coś takiego, co las daje człowiekowi w prezencie. Nie chce się prawie wierzyć, że i ty kiedyś przepłynąłeś morze, by dowiedzieć się, gdzie człowiek może najszybciej znaleźć swoje szczęście...

- Wyjechałem, by zarobić trochę pieniędzy - powiedział chłop z Salo. - Lecz niewiele tego było! Przez kilka lat byłem nawet bezrobotny, musiałem robić wszystko, co się dało. Kradłem kury. Moje pieniądze zaszywałem w kalesonach. Nie wydawałem dużo z tego, nawet jeśli wiodło mi się bardzo źle.

Zdjął czapkę i pokazał bliznę na skroni.

- To pamiątka po tej podróży, konduktor w pociągu zdzielił mnie raz w głowę.

Ożywił się bardzo, gdy myślał o przeszłości.

Gdy Veija Kataja przywoził mąkę, nocował zawsze w gospodarstwie. Spał w małej izbie i budził się bardzo wcześnie, tak jak był do tego przyzwyczajony. Następnie wkładał brudnoszare wysokie buty wołokowe, narzucał na ramiona futrzany płaszcz i człapał na bezgłośnych podszwach po ciemnym pokoju, w którym panował intensywny zapach wyziewów wielu ludzi. Jakże wspaniale było wdychać pełną piersią świeże zimowe powietrze i stać przy narożniku altany, spoglądać na księżyc i mrugające gwiazdy, badać, skąd wieje wiatr i potem pójść do stajni, gdzie na powitanie rżał cicho koń. Veija Kataja zapalił małą lampkę, następnie zaszeleścił workiem siewki, nabrał garść plew i zaczął mieszać pokarm. Przyjemny był to odgłos, gdy się kijem uderzało w ściankę zimnego jak lód żłobu. Czasami przez głowę Veiji Kataji przelatowała myśl, czy koń nie jest czasami ciałem z ramienia, o którym mówiła Biblia... Czy można porównać woźnicę z tymi, którzy z ciała uformowali swe ramię?

Kataja postawił przed koniem pokarm i zgasił lampkę. Następnie stał przez chwilę w ciemności i przysłuchiwał się przeżuwaniu końskich zębów. Silny, dodający otuchy dźwięk! A potem człapał przez podwórze i ciemną izbę, z głową i sercem pełnym radosnego nastroju, który wytworzył się jedynie wskutek gry jego myśli. W izbie ściągnął futro i buty, i rzucił się na plecy na swe posłanie, z fajką w ustach. Nie mógł już spać, była to tylko przyjemna drzemka, z której obudziły go szepty za cienką ścianą.

Małżonkowie wstali. Veija Kataja widział ich tak wyraźnie w swojej wyobraźni, jakby nie był od nich oddzielony ścianą. Mężczyzna siedział w białej bieliźnie na brzegu łóżka paląc fajkę. Mała świeczka śmierdziała spalenizną i paskudnie się tliła, wokoło oddychało dorastające pokolenie Kaira, a kobieta w halce z czerwonymi wypustkami była bardzo zajęta pracą przy kuchni. Gotowała poranną kawę ze zmarzniętych ziaren. Kawa czarna i gorąca, a mleko oraz

kawałek cukru powodowały, że była smaczniejsza. Małżonkowie zdawali się upiększać swe życie przede wszystkim bezustannym szeptaniem. Opowiadali sobie sny. Każdego ranka starzejąca się para rozmawiała o snach minionej nocy. Można by sądzić, że te poranne godziny były najważniejsze w ich życiu. Z ciasnego kręgu życia na odludziu uciekali do rozległego królestwa snów. Ciało pozostawało w stęchłej izbie pod wytartymi skórami owczymi. Jednakże ich dusza szybowiała nawet ponad morzem. Widziała wspaniałość świata i przeżywała najdziwniejsze przygody. Stawała nawet oko w oko z tymi, którzy dawno umarli, także i z tymi, w których istnienie nikt nie wierzył, i których być może wcale nie było...

Jedna jedyna noc zdawała się być o wiele bardziej bogata w wydarzenia i rozmaite zjawiska, niż sto lat życia na odludziu Kaira. Było tego tak dużo do opowiadania, że zapominano o codziennych zajęciach, stajni i koniu, który rżąc domagał się porannego obroku. Oboje stali się wielkimi marzycielami.

Niekiedy jednak sny ich irytowały, gdy były nudne i jednostajne. I czasami odczytywali z nich złe znaki. Wzdychali wówczas zatroskani: - To nie oznacza nic dobrego!

Veija Kataja przysłuchiwał się szeptom za ścianą, wsłuchiwał się i złościło go to, że ci ludzie umieli tak uciekać od życia. Czuł się niesamowicie. Gospodarstwo w Salo, dzieci, bydło i pola znaczyły dla nich tak mało, wszystko, co na nich spadało, traktowali, jakby musiało tak być i nie inaczej. Również i droga, która kiedyś była tak ważna, przeszkadzała im teraz. Nawet w podróż do Ameryki chłop z Salo zdawał się wyprawiać tylko dlatego, by wzbogacić swe sny o własne przeżycia. Tak to zmienili się ci ludzie; prawdopodobnie dlatego, że życie płałało obojgu tak paskudne figle. A teraz szukali ucieczki w obrazach fantazji.

Pewnego razu Veija Kataja rozgniewał się nie na żarty, gdy wszedł do izby.

- Tak, tak - zawołał gniewnie do małżonków - rozmawiacie o snach? Powiadają, że sen ma czarny tyłek, a ten który śni, jeszcze czarniejszy!

Nastąpiło kłopotliwe milczenie. Dotknięto w bardzo niezręczny sposób czegoś, co dla nich było świętości;)...

Veija Kataja próbował złagodzić ton: - Zwróćcie się do Boga, tam znajdziecie schronienie...

Obrośnięta szczeka chłopca z Salo poruszyła się niesamowicie.

- A jeśli to nie jest tylko sen...

- Nie opowiadaj takich grzesznych rzeczy! - ostrzegął Veija Kataja spokojnie. - Jeśli komuś przyjdzie do głowy, że Bóg jest wytworem snów, to myśl ta pochodzić będzie od szatana.

- Nie zauważyłem, by Bóg mi pomagał - powiedział ponuro chłop z Salo. - On nie

chodzi przecież po ziemi.

- Tego to my nie wiemy. Jesteśmy osobliwymi dziwakami. Mówimy o służeniu Bogu, w rzeczywistości jednak uważamy Boga za naszego parobka...

Veija Kataja skierował rozmowę na inny temat, pozwalając płynąć swobodnie wartkiemu i zręcznemu potokowi słów. Posiadał umiejętność uspokajania innych i siebie samego. Powiedział, że był durniem, gdy tak w gniewie wszystko wypalił. Niech sny będą sobie nawet najobrzydliwszym grzechem. Ale czy on był może bratem Józefa, że miał prawo powiedzieć „Oto nadchodzi marzyciel, zabijcie go?” I rzeczywiście, w snach jednej jedynej nocy przeżywa człowiek więcej niż w przeciągu tysięcy lat ziemskiego życia. Czy wolno biednym odbierać takie bogactwo?

Pewnego razu, gdy Veija Kataja wyruszał właśnie sprzed spichlerza zbożowego w Kaira z nową furą mąki do drugiego magazynu, zbliżył się do niego na nartach stary Sakari, włóczęga, który sprawiał wrażenie kaleki. Jego chuda szara postać otulona była sięgającym po kostki płaszczem. Natrętne brzęczenie jego głosu przywodziło na myśl komara. - Chłopie, weźmiesz mnie ze sobą?

Kataja zastanawiał się przez chwilę, potem zgodził się. - Dlaczegoż by nie? Droga jest dobra, a Sakari nie jest przecież taki ciężki.

Sakari włożył swe szerokie narty i kijki z wierzby do sań, wdrapał się z mozołem na worki i usadowił plecami do kierunku jazdy. Gdy pojazd ruszył, zajączał: - Ale pieniędzy nie mam.

- Tego mogłem się spodziewać. - Veija Kataja uśmiechnął się. - Nie tak łatwo trafiają one do nas.

Sakari rozejrzał się podejrzliwie. Sądząc po jego szarej zarośniętej brodzie twarzy zdawał się przeżuwać ciągle jak osioł okruchy swej złośliwości i niezadowolenia. Veija Kataja pomyślał o tym, gdy przyjaźnie wypytywał o wiek Sakariego. Lecz ten udawał, że nic nie słyszy. Tymczasem Kataja wiedział, że nie był on wcale taki stary, że tylko jego grzechy - pijaństwo, lenistwo i włóczęga - uczyniły go przedwcześnie starcem. Także takie rośliny dojrzewały w ziemi Kaira. Sakari ożenił się wcześniej, lecz wkrótce miał powyżej uszu troszczenia się o rodzinę i ulotnił się. Ten pędziwiatr powędrował na Południe i został żołnierzem fińskiej gwardii. I tak służył państwu, dopóki nie wydało się, że zwiął od rodziny. Wrzucono go do więzienia i wychłostano. Jeszcze dziś grzbiet jego upstrzony jest paskudnymi bliznami. Powiadają, że wraz z razami pod skórę dostała się złośliwość, i że dlatego nie wyrósł na porządnego człowieka. Kilka razy już przywożono go państwowym wozem, jednakże ciągle uciekał. W końcu umieszczono tego niepoprawnego włóczykija w małej wsi Nalkapera, która

położona była dalej niż zagroda Salo. Ale i tam mu się nie podobało. Ciągłe przychodził do osady, by narzekać, pojawiał się w kościele nawet w czasie Wieczery Pańskiej. Gdy minęło trochę czasu, Sakari zrobił się na tyle łaskawy, by otworzyć usta i powiedzieć to czy owo. I tym razem, tak jak to już często bywało, Wieczera go rozczarowała.

- Chrystus dał tak mało krwi, że nawet koniuszek języka...

Sprawiał wrażenie rzeczywiście skwaszonego, właśnie tak, jakby chciał połknąć nową porcję złego humoru.

Ty przeklęty grzeszniku!, myślał Veija Kataja. Takiego typu wziął do sań! Gdy Sakari oglądał ładunek, podobny był do lisa z bajki, który udawał martwego, aby móc niespostrzeżenie kraść z worków woźnicy.

Sakari pogładził jeden z worków i powiedział:

- Czy ta mąka jest dla biednych? - I po chwili: - Trzeba by być młodym i zdrowym, wtedy też by się coś z tego skorzystało.

Veija Kataja przytaknął. - Trzeba by najpierw popracować, zanim usta dostaną coś do jedzenia.

Sakari chciał się dowiedzieć - iw jego przygasłych oczach pojawił się prawdziwy blask - czy władza zgadza się z tym, że starzy i chorzy nic z tej mąki nie dostaną, lecz muszą jeść chleb z kory, zmarzłe zboże i diabli jeszcze wiedzą co.

- Tak, to możliwe - odpowiedział Veija Kataja - jeśli starzy i chorzy nie otrzymają ani trochę od pracujących.

- Sakari z pewnością nic nie dostanie.

- Z pewnością gdzieś coś dostaniesz. Być może Sakari też nie myślał o innych żołądkach, gdy miał jeszcze dosyć sił..

Sakari zaklął gwałtownie - wydawało się, że zabrzęczała olbrzymia chmara komarów. - Łatwo takiemu gadać, co siedzi na mące dla biednych.

Lecz Veija Kataja nie zważał na to bajdurzenie. Żał mu było tego biedaka, który wszedł na psy i na którym wyraźne piętno wycisnęły ślady bicza, własna złośliwość i złe serce.

Gdy jazda miała się ku końcowi, oboje byli bardzo powściągliwi i milczący. Veija Kataja nucił pieśni kościelne, ale Sakari gapił się swymi mętnymi oczyma przed siebie. Także i w śpiewie podejrzewał ukryty przytyk.

W końcu dotarli do zagrody Salo. Veija Kataja zaczął wyładowywać worki i przenosić je do spichlerza. Dyszał przy tym ciężko i często musiał robić przerwy, gdyż był starym człowiekiem, starszym niż Sakari. A w ostatnim czasie wykonywał jedynie lżejsze prace. Sakari, który dygotał z zimna, przygotował swe narty do jazdy, jednakże potem wszedł do

domu, by się ogrzać. Stał tam milczący, plecy przy ciepłym piecu, złość i niechęć w oczach. Gdy gospodyni powiedziała coś do niego, burczał jedynie nieuprzejmie. Następnie wyszedł, przypiął deski, i oparty na kijkach, spojrzał w kierunku spichlerza, w którym Veija Kataja miał jeszcze robotę. Wreszcie ruszył powoli w kierunku skraju lasu, w ciemniejszy wieczór.

Veija Kataja stał na stopniach spichlerza i spoglądał za nim. Jakies gniazdo znajdzie się dla każdego, pomyślał. Trzeba przecież gdzieś spać tej nocy!

W myślach stały przed nim lasy Finlandii - olbrzymie rozdarte futro, w którym roilo się od ludzi jak od niepotrzebnego robactwa.

Lecz stary Sakari wcale nie zniknął bez śladu w ciemnych lasach Kaira. Gdy ślizgał się tak na deskach, przez głowę przelatywały mu różne myśli. Wspaniały widok pełnych worków mąki wprowadził jego umysł w stan wrzenia. Tam leżała przecież mąka, prawdziwa zbożowa mąka. Przeznaczona była dla biednych, a mimo to nic z tego nie dano jemu; jemu, który był biedny. On mógł zuć chleb z kory oraz papkę ze zmarzniętego zboża i kory sosnowej, i kto wie, co tam jeszcze było do jedzenia w jego kryjówce, tam, u krewnych, którzy patrzyli na niego, żyjącego na koszt gminy, jak na uciążliwego owada. Ale jeszcze zobaczymy! Jeśli nawet Sakari nie mógł już pracować, to mógłby przecież kraść! Lecz lepiej było o tym nie myśleć, obciążało to tylko niepotrzebnie umysł. Przypomniała mu się piosenka, którą kiedyś słyszał:

Gdy skończy się chleb, to się go upiecze, Gdy skończy się mąka, to się ją ukradnie, Kogo się złapie, tego się powiesi, A gdy się urwie sznurek, to się go powiąże.

Wytrwałym i odważnym trzeba być, jak przodkowie! Prawdziwym mężczyzną! A poza tym czasy stały się łagodniejsze. W stosunku do aresztowanych nie stosuje się już kary chłosty - idzie się tylko do więzienia. A cóż to takiego! Mógł opuścić lasy tego odludzia. Całe jego życie było tylko odchodzeniem, jeśli nawet nigdy nie dotarł zbyt daleko. Zawsze łapali go za kark, tak jak kot mysz i przywozili z powrotem w zimne odludzie. A teraz nie chcieli nawet mu dać jego części z mąki dla biedaków! Ale oni jeszcze zobaczą, jakim chłopem jest Sakari, bo weźmie to, czego potrzebował! Więzienie... Do czorta z więzieniem! Jemu było wszystko jedno, gdzie się wylegiwał. Tak jest, on sam weźmie mąkę, jeśli mu nic nie dano. Nie chciał w swej norze zdychać jak zwierzę. Byłoby to do niego podobne, gdyby wsadzili go do więzienia, i że tam czekałby na swój koniec. Tam znajdował się jeszcze okruch ludzkiego szczęścia...

Staruch jechał powoli na nartach. Gdy się zbyt zmęczył, odpoczywał oparty na kijkach, kaszlał i jechał dalej. A potem ponownie odpoczywał. Droga kosztowała go wiele sił. Myślał z przerażeniem o tym, w jaki sposób ma dźwigać worek mąki, jeśli już teraz trudno mu poruszać nogami... Czy nic z tego nie wyjdzie?! Straszne, gdyż wydawało mu się to tak ważne. Byłby to niejako ostatni wyczyn w jego życiu. Po nim mógłby spokojnie umrzeć.

A teraz ten jego przeklęty wiek i ta słabość popsują wszystko! Nie był w stanie dźwigać worka. Ktoś musi mu pomóc. Już ma! Głowa pracuje jeszcze jak dawniej! W skroniach łomotała krew. Sakari znał się na tym - już on znajdzie kompana na odludziu. Ta myśl ożywiła jego siły; ostatni kawałek drogi przebył bez wysiłku.

Miejscem jego kryjówki była wioska Nalkapera - Otchłań Głodu - mała wioska w najgłębszym zakątku odludzia. Aż dotąd więc za sprawą państwa droga zatoczyłaby swój łuk. Wkrótce Sakari będzie mógł odejść stąd w wygodny sposób; ale on zdaje się nie planował nic innego oprócz tej ostatniej wyprawy... Przedtem chciał jednakże coś uczynić, chciał dać nauczkę światu, na którym unosiła się wokół mąka, tak jakby Sakari nie istniał.

W Nalkapera było dosyć biedy - szczególnie w jednej chałupie w sąsiedztwie Sakariego. Żyła tam wdowa Hulda z dziećmi - jeśli to można w ogóle nazwać życiem. Dokładniej rzecz biorąc był to wielki cud. Pracowała w nędznym gospodarstwie, a wieczorami przędła w swej chałupie. I jeśli nawet tak nędznie żyli, to nie umierali z głodu. Chleba nie było, pomimo tego czuć było woń kału. Już samo to było boskim cudem.

Tak rozmyślał Sakari, gdy siedział na wąskiej ławie w wieczornym mroku chaty wdowy. Przez jego głowę przemykały pospieszne myśli. Nie siedział tam jak jakiś przybłąkany żebrak - on miał coś ważnego do powiedzenia. Chrząknął i w mrocznej izbie rozbrzęczał się głos jak bzykanie komara.

Wdowa poparła go swym lamentem: gdyby mąż jej żył, to mieliby teraz jedzenie. - Te inne, które mają męża do kopania rowów, dostają teraz mąkę.

- Ja nie wymagałbym od mężczyzny niczego więcej, tylko żeby na saniach pociągnął worek mąki - powiedział Sakari.

U wdowy była akurat Leena, zwana też „Leena Niedźwiedzie Futro”, która chodziła po osadzie, by z ludzi wypędzać choroby. Stawiała bańki, upuszczała krew lub też zaklinała. Ta znana wszystkim osoba wpadła właśnie na pogawędkę. Jak to jest właściwie, chciała się dowiedzieć, czy naprawdę trzeba kopać w zamarzniętej ziemi.

- W swej złośliwości żądają tego. Mężczyznom, którzy są wystarczająco silni, kopanie przecież nie zaszkodzi. Ale tym innym potrzebującym trzeba by też dać mąkę.

- A więc tak to jest?

- Tak, tak to jest. Znam to, widziałem to wszystko, gdy wędrowałem po okolicy.

I obie kobiety uskarżały się na okrucieństwo i zło świata. A po tym brzęczenie starego ponownie wypełniło izbę, która oświetlona była ogniem z kuchni. Jeśli im się nie daje mąki, wyjaśniał, to powinni ją sami sobie wziąć. Z pewnością nie jest ona zbyt daleko zmagazynowana, w każdym razie nie za solidnymi kłódkami..

- Panie Boże! Przecież pójdzie się do więzienia! - zawołała z przerażeniem wdowa.

- Ale co tam, ktoś gada o więzieniu - uspokajał Sakari. - Nie odważą się przecież rozdmuchać takiej sprawy i wnieść do sądu. Przegraliby tylko.

Lecz wdowa powtarzała uparcie, że to w każdym razie byłoby grzechem.

Sakari zdenerwował się. - Grzech! - przedrzeźniał ją gniewnie. - To tylko takie słowo, przy pomocy którego straszy się głupi naród. O wiele większym grzechem jest to, że nie dają mąki głodnym!

- Za to odpowiedzą przed Sądem Ostatecznym, a za kradzież idzie się do więzienia jeszcze na ziemi.

- A gdyby i nawet! Więzienie to instytucja panów. Tu na odludziu Kaira oraz gdzie indziej wielu musi głodować przez całe swoje życie, a jest to tak samo dożywotnie jak i więzienie. Jaki sąd mógł skazać ich na coś takiego?

- Wy możecie i tak myśleć. Ale gdy oni nas zabiorą, to co stanie się z dziećmi?

Mówiąc to wdowa wytknęła Sakariemu, że swego czasu nie troszczył się o rodzinę. Gdy zwracała się do Sakariego, w głosie jej brzmiał zawsze pełen wyrzutu ton, tak jak u ludzi, którzy sami wiedą nienaganne życie. Gryzło to starego, nie lubił aluzji do swej przeszłości.

- I co z tego mają dzieci, że matka jest z nimi? - zaburczał zjadliwie. - Czyżby pod dostatkiem chleba, co?

- To przecież jawna drwina ze strony tego, który sam tkwi w tarapatach! - wybuchnęła Hulta. - Dzieci nie jadły przynajmniej nic kradzionego, bo to nie daje żadnego błogosławieństwa.

Sakari zachował spokój. Ze względu na dobro sprawy. Nie chodziło o to, by się kłócić - przez to cały zamiar mógł spalić na panewce. Ale była jeszcze nadzieja. Może ta od baniek będzie jego sprzymierzeńcem. Sakariemu zdawało się, iż nadstawiała ucha, chociaż do tej pory milczała.

- Także i kradzione napęlnia brzuch - powiedział staruch. - I co to w ogóle znaczy kraść? Mąka dla biednych należy przecież do biednych. Weźmie się tylko ze swojej.

- Sakari ma całkowitą rację - potwierdziła Leena. Staruch odetchnął z radością.

- Będzie tak, jak ma być. Niech się dzieje, co chce - zamruczał i chrząknął. - Mężczyznę, który weźmie worek, już mielibyśmy, musiałby się tylko jeszcze znaleźć ktoś, kto worek pociągnie.

- Konia, konia musiałby Sakari mieć!

Wdowa wybuchnęła dźwięcznym śmiechem. Lecz Leena Niedźwiedzie Futro spojrzała na nią z wyrzutem.

- Nie drwij, gdy chodzi o poważne sprawy! - fuknęła.
- Czyżby twoje dzieciaki miały zbyt dużo do jedzenia?
- No nie, ale za to trafia się za kratki.

Sakari milczał i stukał z wściekłością swym kijem o podłogę.

- Ale gdzie tam, za to nie idzie się do więzienia - powiedział w końcu - a jeśli nawet to tylko ja. Ja mam przecież sporo czasu.

- Tak - dokończyła spiesznie Leena - to nie byłby żaden grzech, gdyby się Sakariemu pomogło ciągnąć sanie...

Tego wieczoru sprawa nie posunęła się dalej. Bez Leeny Niedźwiedzie Futro pozostałoby w martwym punkcie. Ale gdy Sakari - wsparty nieporadnie na kiju - wyszedł, Leena powiedziała rozgniewana:

- Ty chyba zwariowałaś, że odradzasz temu pajacowi kradzież! Można by sądzić, że masz tyle mąki, iż jest ci to obojętne.

I wtedy Hulda zaczęła wstydzić się za Leenę. Wiedziano wprawdzie to i owo o tej kobiecie, ludzie przebąkali, że nie żyje, jak należy. Ale pomimo swych grzechów była dobrym człowiekiem. O tym Hulda wiedziała, gdyż Leena dawała dzieciom ze swego prowiantu podróznego. Nie wszyscy to robili, nawet jeśli go mieli dużo.

- Ja się nie znam na czymś takim - odwróciła się Hulda.

- Cóż, głód jest ci z pewnością mało znany! I cóż to za kradzież! Stary niezdara też tak twierdzi. Państwowa mąka, mąka dla biednych, mąka jako zapłata nie należy do nikogo. I ktoś zauważy, gdy zniknie jeden worek...

Lecz dla Huldy było to coś okropnego, a więzienie ją odstraszało. W końcu obiecała Leenie, że weźmie w tym udział jako trzecia. Tylko z dobroci chciała pomóc ciągnąć sanie. Sama nie potrzebowała przecież mąki, dostawała wystarczającą ilość. Ale nie można przyglądać się, jak człowiek się męczy i nie może osiągnąć celu, jeśli nawet jest mężczyzną. Hulda westchnęła. - A może jednak trzeba by było to zrobić.

Była smutna, bo rzeczywiście nie było chleba. Nie było też i ciasta w dzieży. A Sakari był bardzo uparty.

Następnego wieczora siedział ponownie na ławie w chacie wdowy Huldy, stukał kijkiem od nart w podłogę, chrząkał i mrucał. Był ponury i chętnie zwróciłby się do kogoś innego, lecz nie wiedział, kto mógłby mu pomóc. Ale potem stwierdził ze zdumieniem, że nie musiał już wcale gadać: sprawa dojrzała. Wdowa była zdecydowana, a kobieta od baniek też chciała chyba wziąć w tym udział. Postanowili natychmiast zabrać się do dzieła. Pogoda była korzystna, wieczór łagodny i ciemny. Dzieci spały już w swym kącie przykryte łachmanami.

Snu miały aż nadto i odnosiło się wrażenie, że im służył. Domownicy Sakariego nie martwili się o starego, jego nieobecność nie zwróci uwagi, gdyż miał on zwyczaj łązić po wsi i spędzać wieczory u jakiegoś sąsiada. Czasami zdrzemnął się tam, gdzie właśnie siedział i pozostawał przez noc.

Pod osłoną nocy trójka wyruszyła więc w drogę. Jechali gęsiego na nartach, Sakari jako pierwszy, za nim Leena, a następnie wdowa, która ciągnęła sanki. Droga była dobra, a ciemne zimowe niebo wisiało nad ich głowami. Mrok kładł się łagodnie nad ziemią, a Hulta miała wrażenie, że przenikał w głąb jej duszy. Czegóż to wszystkiego szatan nie kazał robić człowiekowi! Bała się. Nawet ciche przesuwanie nart i szelest spódnic były jeszcze zbyt głośne, nie mówiąc już o wycieraniu nosa. Cały świat mógł je przecież usłyszeć!

Ale odgłosy te zdawały się nie przerażać Sakariego. Aż klaskał swymi nartami. Teraz był pełen sił i wigoru. Nawet powietrza wdychał wystarczającą ilość i nie musiał nawet kaszleć. Z czoła małej grupy promieniowała energia i całkowite oddanie sprawie...

Droga była dobra do jazdy na nartach i do celu nie było zbyt daleko. Wkrótce dotarli. Budynki zagrody Salo podobne były do czarnych brył. W wyobraźni Hulty przybierały one postać pięści, która czeka, by w każdej chwili otworzyć się i złapać. Gruba Leena Niedźwiedzie Futro, która sapała z wysiłku, także zaczęła się bać. Dlaczego musiała mieszać się do tego wszystkiego? Co ją obchodziło, że jakieś dzieci nie miały chleba? Dlaczego brała wszystko tak poważnie? Wplątała się tu w coś, a przecież miała tyle doświadczenia! Wiedziała aż nazbyt dobrze, że ludzie nie potrafią milczeć...

Powoli i nieufnie kobiety zbliżyły się do zagrody Salo, umierały prawie ze strachu. Sakari był daleko na przedzie. Zrobiło mu się ciepło od szybkiej jazdy. Chrząknął i splunął przed spichlerzem, zrobił się już niecierpliwy.

- Pospieszcie się, baby!

- Zwariowałeś? - fuknęła Leena Niedźwiedzie Futro. - Obudzisz przecież ludzi! Jeszcze i tych z sąsiedniej zagrody!

- Nie obudzą się - zapewnił Sakari. - Ci w Salo już dawno śpią i tylko sny mają w głowie.

Najwidoczniej on się tu już rozejrzał, gdyż wiedział, że do spichlerza łatwo się było dostać przez drzwi od strychu. Drzwi te nie miały zamka, jedynie wewnętrzną zasuwę. Można ją było odsunąć nożem przez szparę drzwi. Przy ścianie obory stała drabina, Sakari podniósł ją nie troszcząc się o hałas.

- Chodźcie i pomóżcie, baby! - zawołał ku przerażeniu kobiet. - Trzymajcie drabinę!

Musiały to zrobić, nie pozostawało im nic innego. W przeciwnym razie ten typ

obudziłby nawet umarłych. Wspólnymi siłami zanieśli ciężką drabinę przed spichlerz i postawili ją pionowo. Następnie Sakari wszedł na drabinę i otworzył puszczące drzwi, które na szczęście były tylko lekko przymknięte. Wpełzł do środka i słychać było, jak schodził po schodach. Robił przy tym tyle hałasu, że przerażone kobiety sądziły, iż to koń wali kopytami w swojej przegrodzie. Ale temu upartemu typowi nic się nie stało. Słyszały, jak szamotał się z zamknięciem drzwi. Otwarcie ich po ciemku wymagało zręczności, siły i cierpliwości. Ale staruch posiadał dzisiejszej nocy te umiejętności. Po trwającej wieki chwili drzwi rozwarły się.

- Do środka, baby! - zawołał Sakari. - Worki z mąką są tutaj. Złapcie je pazurami za grzbiet, tak jak jastrząb!

Ale gdzie były kobiety? Uciekły? W końcu z ciemności dotarł zachrypnięty szept Hulty. - Przecież ty chciałeś sam. My mamy ciągnąć tylko sanie...

- Co? - zawołał Sakari. Kłął. - Zawsze to samo z wami, przeklęte baby! Czy potrzebowaliby was, gdybym sam mógł unieść worki?

W gniewnym uniesieniu objął ramionami jeden z worków i próbował go podnieść. Sapał i natęzał się, ale worek nie ruszył się z miejsca.

- Idioto, nie przedźwignij się! - krzyknęła Leena Niedźwiedzie Futro od drzwi. - Tu jest pusty worek. Weź mniej!

Sakari odpoczywał przez chwilę. Gdy uspokoił się, chrząknął i rozciął swoim puukko worek. Następnie nabierał obiema rękami mąkę i sypał do worka kobiet. Było to mozolne, bo nikt nie przytrzymał worka. Mąka spadała na ziemię i pyliła się w spichlerzu. Pył mączny przedostawał się do ust i nosa, tak że Sakari musiał znowu chrząkać i kłąć.

- Cóż za ceregiele robią te baby - mrucał. - Czy myślą, że w ten sposób unikną grzechu? Ta od baniek! Tak ochoczo wyruszyła, a teraz... Skąd ma to wspaniałe przezwisko Niedźwiedzie Futro? Cóż to jest za futro?

W końcu worek był napełniony, i Sakari zaciągnął go do drzwi.

- Mam go! Czy jest dość pełny? - wykrzyknął.

- Nie wrzeszcz tak, człowieku! - ostrzegła Leena. - Cud, jeśli ludzie się nie obudzą!

- Nie trzeba się niczego obawiać - powiedział Sakari. - Oni teraz mają głowę wypełnioną snami.

- Nie chcesz wziąć więcej? Tu jest jeszcze jeden worek.

Leena Niedźwiedzie Futro nie była w tym czasie beczynna. Zdjęła jedną z wielu spódnic, które nosiła jedną na drugiej i zawiązała na górze. W ten sposób powstał pewnego rodzaju worek.

Sakari chętnie zgodził się na to. Skoro już brał, chciał wziąć tyle, by nie wyglądało to na

dzieło chłopców. Ten worek z szerokim wlotem łatwiej było napełniać niż ten pierwszy.

A na dworze w łagodnej ciemnej nocy zimowej stały dwie kobiety, szeptały między sobą i nasłuchiwały. Wydawało się, iż noc wypełniona jest osobliwymi odgłosami, wzdychaniem i trzaskami, które je przerażały. Wywoływane były z pewnością przez wiatr lub bydło w przepierzeniach. Lecz strach wyolbrzymiał wszystko i powodował, iż kobiety wyobrażały sobie wszelkie możliwe rzeczy. Trudno było im wytrwać, chociaż dodawały sobie wzajemnie otuchy. Niełatwo jest człowiekowi zbaczać z utartej drogi.

Nadszedł wreszcie moment, kiedy radośnie usposobiony Sakari wyniósł napełnioną spódnicę. Hulda wciągnęła ją na swe sanie obok innego worka, owinęła sobie wokół ciała sznur od sań i ruszyła na nartach w drogę. Za nią podążała Leena Niedźwiedzie Futro. Sakari na próżno wołał: - Hej, baby, tu są jeszcze ślady...

Kobiety zniknęły w ciemności, a Sakari mruzczał: - Niech wszystko zostanie, jak jest. Zobaczą przynajmniej, że ktoś tutaj był.

Zamknął dolne drzwi spichlerza, pozostawił stojącą drabinę i otwarty rozdziawiony otwór na strychu, by mogły świadczyć o wydarzeniach nocy. Gdy Sakari przypiął swoje narty i wyruszył, na ziemię szybowały wielkie płatki śniegu.

- Siady zostaną zakryte - powiedział do siebie Sakari. - Tak to jest, gdy ma się szczęście.

Zamieć stawała się coraz gwałtowniejsza i Sakari cieszył się z tego bardzo, lecz wkrótce okazało się, że przynosiła ona nie tylko błogosławieństwo. Narty pokryły się lodem, Sakari tylko z trudem posuwał się do przodu, a wkrótce niemalże nie mógł się ruszyć z miejsca. Odwiązał rzemienie, zdrapał nożem lód z desek i pobiegł dalej. Lecz wkrótce narty ślizgały się gorzej niż uprzednio. A Sakari był śmiertelnie zmęczony. Zmordował się, a ubiegłej nocy spał niewiele, gdyż rozmyślał nad swoim planem. A teraz ta zamieć! Zastanawiał się, czy nie wziąć nart na ramię i nie pójść pieszo. Ale zauważył, że zboczył z drogi. Ponownie zdrapał lód z desek i przeklinał kobiety, że go pozostawiły samego. Ponadto nóż wpadł mu w śnieg i nie znalazł go już. Następnie odkrył, że zgubił jeden kijek.

Nawałnica śnieżna nasiliła się, wiatr wył ponad bagnem. Fińska ziemia bezlitośnie próbowała wciągnąć starego pod obszerny biały płaszcz, lecz on ostatkiem sił trzymał się na nogach. Miał tylko jeden kijek. Wprawdzie myślał, że posuwa się nieźle do przodu, lecz w rzeczywistości przemierzył zaledwie parę metrów, o ile w ogóle ruszył się z miejsca. Powoli zaczął się bać: czyżby musiał spędzić noc w czasie takiej nawałnicy śnieżnej pod gołym niebem jak dzikie zwierzę?

Obie kobiety nie były zbyt oddalone. Także i one cieszyły się początkowo z zamieci, a wdowa Hulda westchnęła z podziękowaniem ku górze, skąd nadchodziła pomoc. Ale i ich

narty pokryły się lodem, a jazda stawała się coraz mozolniejsza. Posuwały się powoli, gruba Leena Niedźwiedzie Futro sapała, gdy zauważyła, że pozostała w tyle.

- Zatrzymaj się! Musimy poczekać na tego zwariowanego starucha!

Hulta, która ciągnęła sanie, jakby sam diabeł deptał jej po piętach, zatrzymała się w końcu. Odpoczęły obie i czekały, ale nie widziały i nie słyszały Sakariego. Wokół tylko ciemność i nawałnica śnieżna. Jazda na oblodzonych nartach dała się grubej Leenie Niedźwiedzie Futro mocno we znaki. Dlatego chętnie siedziała nieco dłużej na workach mąki, plecami zwrócona ku zamieci, i ciągnęła swą fajkę. - Może nasz staruch wpadł w śnieg - powiedziała. - Ty jesteś młodsza, idź i poszukaj go.

- Mam iść sama? - Hulta ociągała się.

- Szatan jest kompanem biednego grzesznika - odparła szorstko Leena Niedźwiedzie Futro.

I wdowa Hulta wyruszyła w drogę. Człapała wzdłuż drogi w miękkim śniegu, wypatrywała w ciemności i nawoływała od czasu do czasu cicho i nieśmiało. Traciła już prawie nadzieję, gdy zauważyła jakąś postać, która odchyłała się powoli do przodu i do tyłu. Był to Sakari, poruszał nogami, a mimo to nie posuwał się do przodu. Gdy wdowa zbliżyła się, słyszała jak kaszlał, klął i mruczał do siebie. Hulta wzięła narty starego, wzięła go pod ramię i zaprowadziła na właściwą drogę. Człapali z mazołem do sań. Tam okazało się, że Sakari nie mógł utrzymać się na nogach. Kobiety wsadziły go na sanie i położyły obok narty. Następnie Hulta wzięła sznur przez ramię i zaczęła ciągnąć. Leena pchała z tyłu.

Tak wracali kompani z Nalkapera pod osłoną ciemności, śnieg przykrywał miłosiernie ich ślady. Gruba sapiąca Leena Niedźwiedzie Futro nie mogła się powstrzymać od drwin: - Cóż to za herszt zbójców! Każe się ciągnąć!

Lecz siedzący na saniach Sakari, którego wypełniała zarówno złość jak i śmiech, wystękał stare porzekadło: - Cóż tak wzdychasz, biedny głupcze! Twój obrońca siedzi w saniach!

Następnie chrząknął, westchnął i milczał. Gdy kobiety dotarły do chaty Huldy, zobaczyły, że stary leżał na saniach w dziwnie bezwładnej pozycji.

- Jesteśmy na miejscu, stary - powiedziała Hulta. A po chwili: - Panie Boże, oby tylko on nie...

Leena pochyliła się zaaferowana ku Sakariemu, obmacała i zbadła go.

- Nie żyje - stwierdziła. - Ani śladu oddechu.

Kobiety stały długo, całkowicie zmieszane. Hulta płakała. Co teraz będzie? Ale Leena Niedźwiedzie Futro była obrotna.

- U ciebie nie mogą go znaleźć, inaczej przepadłyśmy. Zawieziemy go na drogę. Ta nosiła go i za życia. Worki z mąką i nasze narty zabierzemy ze sań.

Tak też zrobiły. Zaciągnęły niemego Sakariego z powrotem na zasypaną śniegiem drogę, która wiodła do zagród w Nalkapera. Tam zsunęły go z sań w śnieg i położyły obok niego jego narty. Burza miotła płatkami śniegu - opuszczały się na leżącego i przykrywały go. Kładły się odważnie na włosach brody, a ręka mężczyzny już nie wyciągnęła się, by je strzepnąć i pogładzić brodę. Zamieć śnieżna szalała, wiatr przelatywał nad ziemią Kaira i zacierał wszelkie ślady sań uciekających kobiet.

Także i później, gdy w chacie pod kuchnią trzaskał ogień, miały dosyć roboty i kłopotania się. Leena radziła: - Weź kosz, który wytrzyma nieco wilgoci, nałóż do niego mąki i pozwól śniegowi przykryć grób, aż nic nie będzie widać.

- To trzeba chyba...

- Trzeba. Ale najpierw weź porządną ilość mąki i nagotuj brei. Ja nie jestem jeszcze zmęczona.

Tak to mozoliły się, a gdy spódnica Leeny była opróżniona, wytrzepały ją na dworze. Następnie siedziały milcząc w blasku ognia kuchni. W głowach krążyła im nieprzerwanie myśl o tym, że nieopodal leżał martwy Sakari, którego teraz przykrywał śnieg. Tylko staruch wiedział, kiedy i jak śmierć miała do nich przyjść. One nie wiedziały. Wiedziały jedynie, że to kiedyś nastąpi.

- Czy *on* tam zostanie dopóki śnieg nie stopnieje? - spytała Hulta.

- Nie martw się. Już ja to załatwię. Ty trzymaj jedynie język za zębami i gotuj to, co dostałaś. - Sakari nie potrzebował przecież już niczego.

Woda gotowała się, Hulta wsypywała białą mąkę, stukała mątewką. Ale breja nie smakowała kobietom. Ciągłe myślały o nim; był taki obrotny, by zdobyć mąkę. A teraz nawet łyżki nie dostał z tego, lecz zniknął pod grubym białym całunem. Bo na dworze nadal szalała burza. Przez wszelkie możliwe szpary chałupy wiało; powoli pogrążała się ona w śniegu.

Tym skwapliwiej obracały łyżkami dzieci, które obudzono na ucztę. Trudniej sobie wyobrazić, jakie ilości tej wspaniałej białej papki, która ugotowana była tylko na wodzie, wchodziły do ich żołądków. Patrzyły jak zaczarowane na górę mącznej papki, a łyżka podnosiła i opuszczała się bez przerwy.

Leena Niedźwiedzie Futro patrzyła tkliwie na dzieci. - No to i twoje dzieci dostaną coś z mąki dla biednych.

- Tak, dostaną coś z tego - powtórzyła gospodyni i zaczęła płakać. Rozmyślała o tym, że malcy jedli kradzioną mąkę. - Niech im przyniesie błogosławieństwo!

Poszły spać, lecz wkrótce Hulta obudziła się i zawołała: - A jeśli on nie umarł naprawdę?

- Co znowu? - odparła szorstko Leena Niedźwiedzie Futro. - Wierz mi, jest martwy jak kłoda.

Zasnęły dopiero nad ranem, lecz budziły się co chwilę męczone okropnymi snami.

Tego ranka w zagrodzie Salo nie opowiadano snów. Chłop wyszedł na dwór w filcowych pantoflach, by sprawdzić, co też zamieć nawyprawiała. Bo słyszał ją pomimo swych snów. Burza ucichła, lecz na dworze wszystko było zasypane śniegiem. Chłop rozejrzał się i zauważył w świetle wstającego dnia otwarty luk w spichlerzu oraz opartą drabinę. Zadrzała mu broda. Straszne! Czyżby już teraz przyszli, te włóczęgi i rabusie? Czyż nie przeczuwał tego?

Wrócił do izby, opowiedział żonie, co zobaczył i zaczął się szybko ubierać. Był bardzo zmartwiony. A może ludzie oczekiwali, że on będzie pilnował mąki, lub też nawet pomyślał, że to on sam pod osłoną zamieci śnieżnej... Co za cios!

- Ja miałam takie dziwne sny - powiedziała gospodyni.

Ale chłop nie miał czasu rozmawiać o snach. Byłoby z pewnością lepiej, gdyby ta historia wydarzyła się tylko we śnie. Bo on musiał teraz chyba powiadomić kierujących robotami. Mógłby zaprząć konia, lecz niewinne zwierzę nie było przecież odpowiedzialne za grzechy ludzi i nie powinno z tego powodu brodzić przez głęboki śnieg. Musiał się więc zadowolić nartami, nawet jeśli miałyby go to kosztować wiele wysiłku. Cóż, droga miała to do siebie.

Pił w pośpiechu swój słony, czarny napój z jęczmienia. Ostrzegł żonę, by czasami nie brodziła przez śnieg *do* spichlerza, gdyż nie powinno tam być żadnych śladów domowników, i wyruszył do Kaira. Narty ślizgały się powoli przez głęboki śnieg, nie śpieszył się, mógł więc spokojnie palić swą fajkę i patrzeć na ślady, które pozostawiały na śniegu jego narty, podobnie jak i cietrzewie.

Po południu jechał z powrotem w towarzystwie komisarza policji i Veliji Kataji, którzy na miejscu chcieli zbadać sprawę. Na zmianę stawał na płozach ich sań lub jechał obok nich. Komisarz milczał i ziewał. Tliło się tylko jego cygaro. Za to Kataja stawał się coraz bardziej rozmowny.

- Kto inny mógłby to być niż stary Sakari, Sakari Kivalo - powiedział po chwili. - Po nim można się tego spodziewać, on popełnia jeden grzech za drugim.

Podjęzienie wzrosło, gdy wieczorem liczyli worki i stwierdzili, że brakowało tylko jednego. To znaczy, również i ten był na miejscu, lecz był rozcięty, a w nim znajdowała się jeszcze resztką mąki.

Robota słabego człowieka. Ten nędznik Sakari pozostawił tu bardzo wyraźnie swój ślad.

Leena Niedźwiedzie Futro już bardzo wcześniej opuściła chatę Hulty. Jechała po świeżej, niekończącej się pokrywie śniegu, która rozpościerała się przed nią jak kartka papieru przed piszącym. Przechodziła też obok pewnego małego wzniesienia, małego pagórka śniegu. Dotknęła go kijkiem, odgarnęła nieco śniegu. A potem pojechała dalej do zagrody Nalkapera, miejsca zamieszkania Sakariego, by przekazać wiadomość. Ktoś nie powrócił do domu? Ach tak, Sakari - zdaje się, że znalazł sobie miejsce na spoczynek.

Gdy komisarz policji i Veija Kataja przybyli w mroku wieczoru do zagrody, znaleźli Sakariego w stodole na desce. W migocącym blasku skwierczącej świeczki łożowej Veija Kataja zdawał się w twarzy zmarłego czytać słowa: Pytaj, o co chcesz - ja ci nie powiem! Szukaj - czego chcesz - niczego nie znajdziesz!

Mąki nie znalezione przy zmarłym. Jedynie parę nart i jeden kijek.

- Mąka zniknęła chyba w jego żołądku - stwierdził małomówny komisarz.

Veija Kataja spoglądał w mrok. - Tak, a jeśli zniknie śnieg i nie...

Rzeczywiście wyjaśniło się coś, gdy nadszedł czas roztopów. Mianowicie wdowa Hulda używała kradzionej mąki dla siebie i dla swoich dzieci. Przygniatały ją wyrzuty sumienia i miewała koszmarne sny. Przede wszystkim, gdy mąka się skończyła, bała się, że nieboszczyk, który wiódł takie złe życie, przyjdzie i zapyta o nią... I wiosną doszło do tego, że Hulda na jednym z zebrzań sekty zrzuciła z siebie ciężar, wyznała swój wielki grzech i obiecała poprawę. Znalazła ukradzioną przez Sakariego mąkę, ukryła i sama zużyła. Ale cóż, głód nie zniknął. Wywołał tylko dodatkowe pragnienie i mękę duszy, której ofiarą jest przecież tylko biedny.

Sama prawie w to wierzyła, że tak się rzecz miała z jej grzechem. A przecież człowiek musi zatrzymać coś dla siebie!

Nowi bracia i siostry wybaczyli jej grzech, i od tej pory wdowa znajdowała schronienie i pociechę w wierze. Była ona dla niej jak laska, na której się wspierała.

4.

Minęła zima. Otworzyły się wykopane przez robotników rowy odpływowe, czarne jak grzech. Chłopi przywozili swymi chabetami drewno i ziemię na plac budowy, a państwowa mąka prószyla jak błogosławieństwo nad rozległym i ponurym Krajem Kaira. Tylko nadlatujący wcześniej z północnego zachodu wiatr zawiewał śniegiem na olbrzymie trzęsawiska.

Leena Niedźwiedzie Futro wędrowała po okolicy, stawiała bańki i puszczała krew. Na życzenie próbowała nawet małych zaklęć. Zbliżała się wiosna, słońce kreśliło swój krąg

wysoko na błękitnym niebie, a zlodowaciały śnieg ułatwiał jazdę na nartach. Wówczas to Leena trafiła do chaty Ramę, która położona była w najodleglejszym zakątku okręgu Kaira, około czterdzieści kilometrów od osady.

Stała nad wąskim bagnem, jak wskazywała na to jej nazwa, stara i grożąca zawaleniem. Podobna była do wielkiego ptasiego gniazda. Ten, kto przybywał z daleka, zadawał sobie pytanie, dlaczego człowiek utknął w takim przez Boga opuszczonym miejscu, by tu żyć i uprawiać swe pole, które oddalone było w dodatku ładny kawałek od chałupy... Przez lata całe pustkowie powoli zaludniało się. Już od dziesięcioleci unosił się nad chatą Ramę dym. I nawet jeśli tam też nic nie rosło, to jednak wyrastali nowi ludzie; chociaż miejsce, gdzie ich chrzczono, oddalone było o mile.

Właśnie to było w chacie Ramę przedmiotem zmartwienia. Młoda kobieta powiła przed kilkoma miesiącami dziecko i wbiła sobie do głowy, by je za wszelką cenę ochrzcić, dopóki można jeszcze było na zlodowaciałym śniegu jechać na nartach. Ale mąż zatrudnił się przy robotach publicznych; a kto miał w tym czasie dopilnować ryczącej krowy i cielaka w nędznej czarnej oborze?

Nie zawsze to korzystne, gdy sąsiad siedzi tuż pod bokiem; ale też i nie zawsze dobrze, gdy mieszka oddalony o kilka kilometrów.

Leena Niedźwiedzie Futro zauważyła, że jej wizyta w chacie podziałała jak miękki, ciepły koc wełniany. Jak posłaniec niebios. Musiała obiecać, że zostanie do przypilnowania domu, i właściwie została chętnie, gdyż przyjemnie było czuć, jak ważną była osobą - żaden tam niepotrzebny wędrowiec po pustkowie Kaira. Potrzebowano jej, gdyż potrafiła wiele rzeczy. Dopilnowanie krowy oraz wydojenie było dla niej drobnostką.

Mari Ramę wstała o świcie. Miała przyjemne uczucie, że nie był to zwyczajny dzień. Od dawna chciała już pójść do osady i porozmawiać z pastorem, by swemu pierworodnemu dać imię. I stwórca zesłał teraz tę Leenę Niedźwiedzie Futro. Nie można było przepuścić takiej okazji, tym bardziej, że droga była dobra. I tylko taka musiała być, gdyż do Kaira było bardzo daleko...

Wyjęła odświętną spódnicę, doprowadziła do porządku wiązania przy nartach i coś przegryzła. Tu było coś do jedzenia. W sieni stał wypchany worek mąki. Podziwiała go nawet Leena, której nieźle się powodziło. A mąż Mari zapracowywał właśnie na nowy worek mąki, tam przy robotach publicznych nad odległym Bagnem Kładkowym, gdzie wykopywano szeroki rów odwadniający i budowano utwardzoną drogę.

Mari Ramę miałyby wyrzuty sumienia, gdyby nie ochrzciła chłopca. Zawinęła niemowlę w chusty, włożyła kwilące zawiniątko do wielkiego tornistra z kory brzozonej i

zarzuciła go na plecy. A potem wyruszyła.

Leena Niedźwiedzie Futro siedziała w malutkim oknie i patrzyła za kobietą, której brzozowy tornister chybotął się na plecach. To była prawdziwa kobieta odludzia! Taka musiała być kobieta, która żyła na odludziu. W przeciwnym razie życie jej pogrążyłoby się pewnego dnia w bagnie, czego zawsze była zresztą blisko!

Tak więc gospodyni Ramę jechała po oblodzonym śniegu, który połyskiwał w blasku wschodzącego słońca; pustkowie przed nią stawało się olbrzymią, pełną przepychu komnatą... Mari Ramę jechała przez las, przez bagna i rzeki. Oddech jej parował, a brzozowy tornister kołysał się na plecach. Raz tylko zjechała z drogi i zboczyła do siedziby ludzkiej. Tam dała pić małemu mieszkańcowi tornistra, który domagał się imienia. Sama też coś zjadła i po chwili ruszyła dalej. Z jej ust dobywała się para. Posuwała się szybko w ten piękny przedwiosenny dzień. Gdy słońce mocniej przygrzało, a śnieg zaczął nieco topnieć, przez co droga stawała się gorsza, Mari Reeme sunęła właśnie ze swym tornistrem po uliczkach wsi. W sklepie odpoczęła chwilę na beli sznurów. Ze zdziwieniem przypatrywała się kupcowi, temu sapiącemu kłocowi tłuszczu i kupiła parę drobnostek.

Dopiero po tym udała się do pastora. Na podwórzu wystawało ze śniegu parę powykręcanych brzóz. Weszła do kancelarii proboszcza i postawiła tornister obok drzwi. Przyniosła bezimiennego, który odbywał swą pierwszą podróż na nartach i pochodził z daleka - z chaty Ramę.

Pastor Borgh siedział za swoim biurkiem. Na Mari Ramę sprawiał wrażenie puchacza. Wrażenie to potęgowały z pewnością osobliwe łuki brwi i błyski okrągłych okularów. Długo i badawczo przyglądał się młodej kobiecie i jej tornistrowi.

- Miejmy nadzieję, że przyniosła też pani opłatę za chrzest... osiemdziesiąt penni! - odezwał się w końcu. Zachowywał się bardzo naturalnie, nie przyszło mu nawet do głowy, by rozwodzić się nad rzeczami, które przy chrzcie są najważniejsze.

Nie, gospodyni Ramę nie miała pieniędzy, zupełnie nic.

Pastor Borgh upodabniał się coraz bardziej do puchacza, któremu zakłócono spokój dnia.

- Jesteście młodzi i silni - powiedział. - A to jest wasze pierwsze dziecko. Można więc sądzić, że tyle mogła pani odłożyć. Czy mąż pani nie ma pracy?

- On kopie rów dla państwa; ale jeśli pensję wypłaca się w mące, to skąd mamy...

- A nie ma pani w ogóle pieniędzy?

- Skąd mają wziąć tacy jak my...

Mężczyzna w okularach wydawał się kobiecie w tej chwili jeszcze bardziej

puchaczowaty. Gdy spytała, czy nie mogłaby później wnieść opłaty, gdy będzie miała pieniądze, zdawał się patrzeć na wskroś przez nią.

- Później! Później! - prychnął pastor. Odprawił już kilkoro ludzi, którzy chcieli później wnieść opłatę za chrzest. Kto wie, czy kiedykolwiek by to uczynili. Przecież on ich znał. Chcieli go oszukać, udawali biedniejszych, niż byli. - Tak to nie można, moja miła - powiedział. - Zdrowe dziecko. Ochrzczę je dopiero wówczas, gdy wpłyną pieniądze...

Mari Ramę pomyślała o dalekiej drodze, którą przebyła i próbowała prosić, ale nie miała w tym wprawy i nic nie wskórała.

Borgh nie ustąpił. Nie wyglądała przecież na najbiedniejszą. A gdyby zrobił wyjątek, to wielu przychodziłoby bez pieniędzy. Przemknęło mu przez myśl, że gubernator swoim pomysłem zaszkodził jedynie biednemu duszpasterzowi z biednej parafii kościelnej...

Tak więc Mari Ramę znowu musiała nałożyć na plecy swój tornister z kory. Westchnęła cicho. Chciała odpocząć w izbie czeladnej na plebanii, ale czuła tam, jak wszędzie na wsi, taką szorstkość, że jej biedna nora na skraju bagna wydawała się ciepła i przytulna. A gdy zbliżał się zimowy wieczór, ponownie przemierzała z powrotem te czterdzieści kilometrów. Śnieg skrzypiał, kijki trzeszczały, a w podartym tornistrze z kory spało bezimienne dziecko, którego pastor nie ochrzcił w wierze ojców, bo brakowało osiemdziesiąt penni.

Mari już dawniej słyszała, że pastor był bardzo łasy na pieniądze. Jakżeż ten nowy człowieczek mógł zaślepić tak matkę, iż sądziła, że pastor pomyśli o jej dalekiej drodze... Skąd wiedział jednakże, że miała pieniądze, gdy przyszła do osady - całą srebrną markę? Wydała ją w sklepie Polso na trochę kawy, kawałek cukru i nowe ubranko dla bezimiennego. Zapomniała całkowicie, że i chrzest coś kosztował. Czyż nie była naiwna sądząc, że pastor nie będzie miał serca odesłać jej w męczącą drogę z bezimiennym dzieckiem? Jednakże serce człowieka, który uczęszczał do seminarium duchownego, powinno być przecież inne niż zwykłego człowieka.

I czyż odważyłaby się wrócić do Leeny bez ziaren kawy? Oznaczałoby to przecież, że zbliża się na nartach do rozwścieczonego niedźwiedzia, któremu postrzelono tyłek.

Po drodze miała wystarczającą ilość czasu, by myśleć o wszelkich możliwych rzeczach. Skrzypiał śnieg, trzeszczały kijki i mrugały gwiazdy. Nadciągało zimno nocy przedwiosennej. Także i księżyc wyzierał ciekawie znad obrzeża lasu, jak gdyby chciał widzieć, w jaki sposób malec z chaty Ramę powracał ze swego pierwszego chrztu.

Państwowa mąka była jak zacier, który wytwarza pęcherzyki. Z czasem stawała się ona przyczyną wielu wydarzeń w zaśnieżonym odludziu Kaira.

Pewnego wieczoru, gdy panował jeszcze zimowy chłód, lecz pachniało już wiosną, jechał Juhani Lunki na nartach do swojej chałupy. Jechał tak, wysoki i czarny, z olbrzymią

fajką w ustach, szarym workiem mąki na ramieniu. Z naprzeciwka jechały załadowane sianem sanie. Na furze leżał Jaako Kortteinen, pijaczyna, który jednakże uczciwie pracował, gdy kończyła się wódka - czasami też, gdy był pijany. Jaako Kortteinen jechał do domu. Jego stara szkapą była tak mądra, że się sama zatrzymywała, gdy jej panu nadarzała się okazja do pogawędki.

- No to i do ciebie dociera błogosławieństwo mączne... - zaczął Kortteinen.

- Uciska tylko plecy - odpowiedział Juhani Lunki. - Czy błogosławieństwo nie powinno oznaczać czegoś więcej?

- O tak, błogosławieństwo jest potrzebne. Ty sam przecież wiesz, jak bardzo się trzeba namęczyć. Ale teraz nawet ty masz dosyć mąki, by pędzić wódkę.

- Po prostu nie znam się na tym.

- Za to Jaako Kortteinen zna się! Jedna starucha nauczyła mnie tego. Była swego czasu zręczną dziewczką, wtedy, gdy chłopów nie obrabowano jeszcze ze wszystkich praw. W ostatnich latach pędziłem kilka razy, gdyż w zagrodzie Korte są kociołki, prawdziwe stare i bezpieczne. Jak też one mogą teraz wyglądać?! Dawni właściciele zagrody byli szczwanymi lisami; oni potrafili nasypać panom piasku do oczu.

Mowa Jaako rozwijała się jak nitka z kłębka. Powiedział że i teraz pędziłby wódkę, ale w domu nie może. Żona zauważyłaby natychmiast. Ona ma taki delikatny nos. I wkrótce ludzie opowiadaliby o tym wszędzie wokół, tak, jakby miał nastąpić koniec świata.

- Ale u ciebie byłoby to możliwe, lasy dają schronienie. Czy nie moglibyśmy... pędzić wódki u ciebie?

Cóż mogło zajść w duszy Juhani Lunkiego? Oparł się na kijkach, fajka, długa i gruba wyglądała jak kijanka pomiędzy potężnymi szczękami. Jaako Kortteinen zapytał tylko tak sobie - wynikało to z jego gadulstwa, gdyż wiedział, że Lunki nie przepadał za wódką. Czasami wprawdzie łyknął z butelki Kortteinena, może i dwa razy i zamlaskał wargami. Ale to było wszystko. Gdy ktoś chciał wmusić w niego więcej, spoglądał na niego nieufnie i burczał, że już dosyć wypił. Upijać mogą się ci, którzy mają na to ochotę... Ale teraz!

- No dobrze, dlaczego nie... - wydobył z siebie z trudem. Jutro będzie być może żałował tych słów, gdy w śniegu i na mrozie będzie pracował przy kopaniu rowu.

Jaako Kortteinen zaniemówił.

- Ale u mnie też nie można - ciągnął dalej Juhani Lunki - jest tam Reeta ze swoją plotkarską gębą.

- No to gdzie? - Kortteinen zastanawiał się.

- W chacie nad Smolną Jamą...

- Zapomniałeś, że potrzebujemy o tej porze roku ciepłego pomieszczenia?

- Mogę napalić. Wezmę wolny dzień. Po co mam gromadzić tak wielki zapas mąki? Nigdy przecież nie wiadomo, jak długo jeszcze ruszać będzie człowiek swoimi zuchwami!

- Ty to potrafisz odpowiednio patrzeć na życie - chwalił go Jaako Kortteinen.

I tak doszło tu, na drodze odludzia, w błękitnym połysku przedwiosennego wieczoru, do przymierza. Zaraz wczesnym rankiem Kortteinen chciał zawieźć przyrządy i mąkę do pędzenia wódki do chaty nad Smolną Jamą. Jaako Kortteinen poruszał się szybko i zwinnie z płonącym wiórem w dłoni po ciasnej, półmrocznej chałupie. Stale musiał zważać na swą fabrykę, która wymagała stałej temperatury.

- Nie rozumiem, jak człowiek może znaleźć upodobanie w takiej rzeczy - ciągnął dalej Lunki. - Pograżysz się w mroku, w głupocie, w idiotycznej gadaninie i lichu wie w czym jeszcze...

- Mówisz jak zły ksiądz - powiedział Jaako. - Wódeczka da ci rozmach w życiu...

- Już ja znam ten rozmach.

- Sprawiasz wrażenie, że dobrze wiesz. Czyżby ten rozmach rzucił ciebie tu, w odludzie?

W Jaako Kortteinenie obudziła się stara ciekawość. Kto wie, co za łajdactwa i szaleństwa skazały tego Lunkiego na nędzne życie człowieka leśnego... Żeby tylko to mu smakowało, by wreszcie przemówił! Wódka jest poważną sprawą...

Wziął miseczkę, napelnił ją i podał Lunkiemu.

- Posmakuj! Teraz wódka jest w sam raz, że tak powiem, jeszcze ciepła...

Lecz Juhani Lunki długo patrzył w miseczkę.

- Trzeba by nieco z tego wypić... Nie wiesz nigdy, co człowiek zrobi pod jej wpływem. Pewnego razu doszło do tego, że jeden moczymorda podał swemu kompanowi długi puukko *[* Nóż fiński, krótki, nieskładany, z zakrzywionym na końcu ostrzem; trzonek długości ostrza. Puukko używany był przez Finów jako broń oraz narzędzie pracy.] i powiedział: Jeśli ty mnie nie zabijesz, to ja zabiję ciebie!

- No, nie! I jak to się skończyło?

Juhani Lunki skosztował z miseczki i spojrzał krzywo na drugiego. W słabym, migocącym świetle rysy jego nabrały ponurego wyrazu, przywodzącego niemalże na myśl szaleńca. Jaako Kortteinen zaczął się go bać. Bo czyż wiadomo było, iż nie zacznie zachowywać się jak mężczyzna z opowiadania? Wychylił szybko miseczkę, by dodać sobie odwagi.

- Mogę tylko powiedzieć, że była to dla tego mężczyzny trudna sytuacja.

- Na ostrzu noża! Raz na zawsze! - wrzasnął Lunki. - Pomyśl, ten mężczyzna nie znał żartów. Szalał, wściekał się...

Nastąpiło długie, przytłaczające milczenie. Jaako Kortteinen nie chciał już pytać, jak zakończyła się sprawa.

Gdy napełniał ponownie miseczkę pod strużką wódki, drżały mu trochę ręce. Nigdy nie było wiadomo, kiedy Południowiec, ten szubrawiec mówił poważnie. Ale w trakcie picia powinno się jednak rozmawiać o czymś wesołym.

- Słyszałem, że chodziłeś do wyższych szkół - zaczął. - Dlaczego nie stałeś się panem?

- Ludzie mówią, a psy szczekają. Mogę to przecież powiedzieć. Mógłbym stać się takim, który szczeka na ludzi z ambony, chrzci, daje śluby, grzebie, dba o dusze, lub też takim, który za stołem sądu sypie wyroki na ludzi, kary pieniężne. Więzienie albo też głowa pod topór! Oni są przecież panami, ci duchowni i sędziowie chleba.

Lecz Kortteinen pomyślał: Nieźle cyganisz! Nie wyglądasz na takiego, który miałby się stać kimś innym. Ty grubiański klocu, który kocha dym sauny leśnej. - I to wszystko popsuka ci wódka? - zapytał.

- Nie zawsze wódka jest jedynym powodem, chociaż przeważnie przyczynia się w jakimś stopniu do tego - odpowiedział Juhani Lunki i nadal spoglądał surowo. - I nie chciałem też wcale zostać księdzem lub sędzią. Bo kto też ma zaufanie do księdza i sędziego oraz poważnie traktuje ich błazeńską grę? Kimże ja jestem? Jakże ja mam troszczyć się o duszę innych ludzi, jeśli jej być może wcale nie ma? A kimże jesteś ty, że wolno ci mnie dręczyć karami? To straszne! Istnieje prostsza droga: żyć jak człowiek!

Jaako Kortteinen nie rozumiał tej mowy. Takie niejasne rzeczy wprawiały go niemalże we wściekłość.

- Jak człowiek! - powtórzył. - A czy ty żyjesz jak człowiek tak, jak żyjesz? Wylegujesz się w dymnych saunach głusz leśnych, a czasami to i głodujesz.

- Tak, tak to jest! - wyjaśnił Juhani Lunki. - Odrzuciłem swe inne życie, by podążyć za słowami Biblii: Cóż pomoże człowiekowi...

Tak sobie rozmawiali i popijali. Tymczasem Jaako Kortteinen szybko i sprawnie obsługiwał swą fabrykę, która wypuszczała strumyk przezroczystego, ostrego płynu. Rozmyślali o tych mężczyznach, którzy mieszkali kiedyś w tej na wpół rozwalonej chałupie, wyczarowywali smołę z drewna sosny i transportowali ją następnie przez wiele kilometrów na wybrzeże. W nagrodę mogli przedłużyć swe życie. I nawet gdy nastąpiła potem nowa epoka, smolne jamy ciągle jeszcze dymiły. Chłop dostawał pieniądze nie ruszając palcem: sprzedawał drewno ze swego lasu spółkom drzewnym.

Kortteinen wiedział o tym i piorunował, gdyż kiedyś właściciele gospodarstwa Korte, chociaż mieli na względzie własne korzyści, byli tak głupi, że wzięli podczas wielkiego podziału ziemi jedynie niewielkie obszary leśne, z obawy przed podatkami. Niechby płacili podatki, nawet gdyby było bardzo ciężko. Jaako miałby teraz coś do sprzedania!

- Dlaczego ty miałbyś sprzedawać las? - spytał Lunki. - A czy ja nie mógłbym równie jak i ty sprzedawać lasu?

Kortteinen gapił się na niego z szeroko otwartymi ustami i następnie odrzekł: - Ty przecież tu przywędrowałeś, ja tutaj wyrosłem...

- Ale drzewa rosną na gruncie, którego nikt nie orał...

Tak sobie rozmawiali. Gdy skończyli, Jaako Kortteinen był już nieźle pijany, a ulubiony płyn pluskał w drewnianym antałku z dwoma uchami.

Na uginających się nogach wynieśli z chaty przyrządy do pędzenia samogonu i schowali w śniegu pod wysokimi jodłami. Poranne powietrze trzaskało mrozem, gwiazdy mrugały poprzez gałęzie wysokich drzew, a oni chwiejąc się wrócili do chaty smolarzy, do swego ogniska i naczynia z wódką.

Samogon i upojenie nie rozwiązało wcale życiowych problemów Kortteinena. Pochylił się, jak zawsze gdy brał udział w zmartwieniach drugiego, w kierunku Lunkiego, który zapatrzył się ponuro.

- Mamy brzydkie baby, co?

- Tak - potwierdził Lunki - brzydkie i głupie do tego, ale po co się uskarżać!

- Trzeba się naprawdę skarżyć i być bardzo smutnym - bełkotał Jaako Kortteinen.

- Ależ nie, braciszku! Nigdy nie pojmowałem, dlaczego kobiety mają być zgrabne i piękne. Co za głupota! Brzydka robi to samo i jest pod pewnym względem nawet dużo lepsza...

- To jest ten twój głupi sposób stawiania wszystkiego do góry nogami... Ach, moja własna żona mnie nie obchodzi. Jest przecież najbrzydszym stworzeniem na świecie i do tego jest chora...

- Patrzysz na rzecz z niewłaściwej strony - pocieszał Lunki. - I masz przecież dosyć pieniędzy, by osłodzić sobie brzydotę.

Ale Kortteinen był bardzo przygnębiony i nie słuchał niejasnych kazań Lunkiego na temat przyrody, która wabiąc maleńką kroplą przyjemności, od wszechczasów ciągnie za sobą łańcuch żyjących. Coraz częściej sięgali po czarny kubek, a ich rozmowa stawała się głupią, pijacką paplaniną.

Gdy nad pustkowiec Kaira nastawał dzień, w małej mrocznej chatce dwaj pijani kręcili się w niesamowitym tańcu: Kortteinen, gibki także i po pijanemu, w butach z podskakującymi

w ruchu frędzlami oraz kanciasty Lunki.

Gdy wzeszło słońce, ich wrzask niósł się daleko po błyszczącym śniegu:

Przyjdź, ukochany ojciec światła, przyjdź, ty najwyższy sędzio, przynieś butelkę wódki swemu synowi, gdyż jest on pijakiem. Tylko butelka da mu pociechę, inaczej umrze ze zmartwienia!

Podczas tańca przewrócili antałek z samogonem; sami upadli na niską, połamaną pryczę do spania. Wkrótce spali ciężkim, pijackim snem. Drewniany antałek miał wprawdzie szpunt, ale był niedbale umocowany. I tak przezroczysty płyn kapał na ziemię, wprawdzie słabo, niby odwieczna ofiara.

Gdy gospodyni Ramę opuściła ze swym brzozowym tornistrem kancelarię, pastor Borgh siedział przez chwilę bez ruchu przy stole i dumiał gorzko o głupim pomysle gubernatora, któremu nie przyszło do głowy, że ludzie przecież nie mieli pieniędzy, by zapłacić za chrzest... Ale potem powiedział sobie, że on w tej sprawie nie może nic zmienić i nie ma sensu denerwować się z tego powodu. Powinien być zadowolony, że nie zszedł ze swej drogi i nie uległ pokusom Nagle otworzyły się drzwi wiodące w głąb domu i pojawiła się żona pastora, siwa jak duch, o bladej owalnej twarzy.

- Powinieneś je ochrzcić. Tym bardziej, że droga była tak daleka.

- Bez zapłaty? - spytał ironicznie pastor. - Wiem bardzo dobrze, jakby się to skończyło, gdybym tylko zaczął, wkrótce nie dostałbym ani jednego penni.

- Ale w sytuacjach trudnych mógłbyś robić wyjątek. Nie ujęłoby ci to chleba.

- Kto ustępuje, nie trafi z powrotem na właściwą drogę! I jak tuż mówiłem; ci ludzie uczynili ze swej biedy bożka, do którego pomocy się uciekają.

- Ale to przykre słyszeć, że tyle opowiadają o twym sknerstwie i... - głos odmówił jej posłuszeństwa. Wyglądała na zmartwioną, była bliska płaczu.

- Tacy są właśnie ludzie. Gadają o tobie, niezależnie od tego czy żyjesz tak, czy siak. - Pastor spoglądał z wściekłością na swą żonę i ciągnął dalej: - Czy poza tym nie masz nic innego do roboty tylko podsłuchiwać i podglądać pod drzwiami?

Westchnęła i zamknęła drzwi, ale jej słowa nie pozostały bez wrażenia na pastorze; nie mógł przejść nad tym do porządku rzeczy. Trzeba zważać na gadaninę ludzi, szczególnie gdy się jest pastorem!

Z pewnością będzie to znowu woda na młyn, gdyż często odprawiał kogoś, kto nie miał pieniędzy. To mogło mieć oczywiście dla niego i jego żony bardzo nieprzyjemne skutki.

Wtedy to przyszło pastorowi na myśl, że mógłby żądać mąki jako zapłaty, gdyż ludzie ją przecież posiadali.

Wprawdzie nie były to pieniądze, ale towar przedstawiał wartość pieniężną. To byłoby niezłe. Czy dostanie jednakże swą mąkę? Gdyby dawał kredyt, to skwitowałiby go z pewnością w ten sposób, że nadaliby sprawie wielki rozgłos. I gdyby żądał zamiast tego woreczka - mąki, to czy pasowałoby do niego stanie w kancelarii z wagą w rękę? I każdy woreczek miałby oczywiście zbyt małą wagę, gdyż ludzie myśleliby, że to wystarczy do worka pastora, który z pewnością wstydziłby się upominać o parę gramów...

Wszystko to było bardzo przygnębiające i pan na plebanii kroczył w złym humorze przez podwórze. Obejrzał sobie konie w stajni i krowy w oborze, narąbał trochę drewna i rozpałił ogień w kafłowym piecu swej kancelarii. Pastor Borgh chętnie pomagał w gospodarstwie, czasami tak ostro, że mógłby konkurować z parobkiem. Także i teraz głowił się nad sprawą państwowej mąki; doszedł do wniosku, że i on dostanie swą część i że nie potrzebuje martwić się o opłatę za chrzest.

Przykucnął przed piecem jak olbrzymi ptak, w szklach jego okularów odbijał się trzaskający ogień. Wtedy zazwyczaj płonęło też w mózgu pastora Borgha. W taki sposób, jaki sobie wymyślił, otrzymywałby przecież mąkę tak jak i inni od kasjera i księgowego Veija Kataja. Trzeba mu było jedynie wymienić nazwiska i należne sumy, które, zamienione według obowiązującej ceny na kilogram mąki, pomniejszałyby mączne konto dłużników. Również i w tym wypadku ludzie mieliby oczywiście okazję do szachrowania, ale w życiu ludzkim wszystko jest przecież niedoskonałe. Tak zrobię! Nie będę wtedy zmuszony do odważania małych woreczków mąki, uniknę nieprzyjemnych pytań, a dzieci będą chrzczone jak dawniej. Nawet jeśli ludzie potem jeszcze będą gadać, że biedak na próżno rozmawia z pastorem z Kaira, to będzie to kłamstwo i głupie bajdurzenie...

Pastor Borgh nie był złośliwym człowiekiem. Myślał o kobiecie z odludzia, która odeszła bez zrealizowania swego zamiaru. Teraz, gdy znalazł niezawodny system obchodzenia się z biednymi, mógłby się i nią zająć. Może była jeszcze w izbie czeladnej. Doszedłby już z nią do porozumienia i oszczędziłby jej mozolnej, dalekiej drogi...

Pastor kroczył przez mroczne podwórze i pytał o kobietę, ale Mari Ramę już odeszła.

- Głupio się stało - burknął Borgh i odwrócił głowę: szkła jego okularów rozbłyskiwały w blasku ognia. Jeśli ktoś ujrzał go w tej chwili, to na myśl przyszedłby mu nocny ptak fińskich lasów.

5.

Wiosna nie była już zbyt daleko; zimowe drogi stopniowo rozmarzały, tak że wyłoniło się łajno końskie, które leżało pod śniegiem. A gałązki brzoź wyglądały tak, jakby nieco napęczniały.

Veija Kataja powracał z zagrody Salo, gdzie robotnicy otrzymywali swą zapłatę. Pozwalał koniowi iść tak, jak ten chciał. Leżał wyciągnięty na saniach, przeciągał się w swym futrze i patrzył w olbrzymią kopułę nieba. Za poduszkę służył mu pokryty słomą worek mąki, przeznaczony dla pastora z Kaira jako zapłata za kilka chrzcin i pogrzebów.

Gdy Veija Kataja myślał o tym worku, irytował się. Co za liczykrupa! Prawdziwy rozbójnik! Także i jego mają ludzie na myśli, gdy zjadliwym językiem narzekają na swą biedę. Wyglądał na bardzo przygnębionego, gdy go prosiłem o to, by wziął na siebie stratę jednego lub pół penni na kilogram, gdyż inny sposób odważania jest niemożliwy... Uparty kloc, jeśli nawet jest pastorem, zawsze żądny rzeczy przemijających!

Niech będzie, jak chce, parafia jest kolorową mozaiką, powiada stare przysłowie. Kataja widywał już wszelkiego rodzaju osobliwości. Gdy pewnego razu zarzucił pewnemu małżeństwu, swym współwyznawcom, nieuczciwe interesy i zwrócił uwagę na to, iż są przecież wierzącymi ludźmi, oboje otworzyli szeroko ze zdumienia oczy i powiedzieli: - Co ty mieszasz wiarę do tych spraw? Tu rozchodzi się przecież o ziemskie rzeczy.

I ludzie żyli w swej zbawczej wierze...

Tak rozmyślał Veija Kataja i zapomniał całkowicie o służącym mu za poduszkę worku pastora. Przywiózł go na swe podwórze i dopiero po kilku dniach odkrył go, jakby przypadkiem, pod sianem na saniach. I wtedy spieszo mu było zawieźć go do pastora. Zaprzągnął natychmiast konia. Mógłby też go i zanieść, bo nie był to przecież tak duży worek, ale Veija Kataja wiedział, jakby ludzie patrzyli. Cóż to jest za mąka? Państwowa oczywiście! Dostaje się ona we wszelkie możliwe ręce. Nie, to stworzyłoby jedynie pretekst do różnorodnych plotek!

Aby temu zapobiec, Veija Kataja, którzy bynajmniej nie opowiadał wszystkiego, co się działo w jego łysej głowie, chociaż chętnie i dużo rozmawiał, zaprzągnął konia i pokonując niewielką odległość zawiózł mały worek na plebanię.

Tam wszystko poszło sprawnie. Pastor Borgh nie potrzebował nawet wagi, lecz zawierzył swojemu wyostrzonemu przez okulary wzrokowi. Zawołał parobka, by wziął worek i nałożył trochę z niego do gotowanego pokarmu dla konia Musty.

Zwykle, niewinnie wyglądające wydarzenie na plebanii pastora z Kaira. Czy było tak faktycznie? Na schodach izby czeladnej Kataja zobaczył chudą, ciemno ubraną kobietę, która stała wyprostowana jak słup. Spod jej długiej, podartej spódnicy wyzierały wielkie, brzydkie buty. Była to Riita Pólló, mieszkająca na skraju osady. Cóż za sprawy miała ona do załatwienia na plebanii? Może prosiła po prostu o pomoc - bo jej mieszkanie było nędzną dziurą, siedliskiem biedy, tak jak wiele innych w Kaira, przede wszystkim ze względu na olbrzymią

gromadę dzieci. Bieda była bardzo dotkliwa, jeśli szukała pomocy u pastora, gdyż znane było jego twierdzenie, że jałmużną nie można człowiekowi pomóc. Jeśli rozdasz wszystko, nawet koszulę, którą masz na sobie, to będzie to miało jedynie taki skutek, że będzie o jednego biedaka więcej. I dlaczego ci ludzie są biedni? Powinni sumiennie pracować i modlić się do Boga, wówczas bieda znikłaby. Jeśli nie, to znaczyć będzie, że Pan odmówił swego błogosławieństwa, a wówczas wszelka ludzka pomoc jest daremna.

Tak potrafił mówić. A teraz Veija Kataja zauważył, że oczy Riity połyskiwały jak błyszczyc w nurcie rzeki. Gdy podążała wzrokiem za workiem mąki w jego drodze do stajni, twarz jej, skóra i kości, przybrała groźny, pożądliwy wyraz.

Riita Pólló miała ostry język, wyostrzony przez ciągłą dojmującą biedę, oraz gardło jak pies. Posiadała taką umiejętność fantazjowania, że gdy ją rozgniewano, potrafiła całą sprawę odwrócić do góry nogami; krótko mówiąc, kłamała tonem najszczerzego przekonania.

W drodze powrotnej Veija Kataja zatroskany myślał o wychudzonej, zgorzkniałej twarzy Riity Polio oraz o jej połyskującym jak błyszczyc spojrzeniu. Lecz wkrótce potem ogarnęło go uczucie przyjemnego oczekiwania, właśnie tak, jakby ktoś mrugał w kierunku jego serca: bądź cicho, poczekaj, co się stanie!

I stało się.

Jeszcze tego samego dnia Riita Polio opowiadała, co widziała i słyszała na plebanii: - Wydaje mi się, że mąka dla biednych sypie się wszędzie. Nawet Musta ją zje; nic dziwnego, że boki jego są jak z jedwabiu. Tak, koń dostaje mąkę do żarcia; zje i parska; podobnie jak i bydło, ponieważ żyje w oborze pastora. O tak, koń należy do lepiej sytuowanych, którym nie może niczego brakować. A biedakowi i jego bachorom trudno jest zdobyć nawet pyłek z mąki państwowej. Jak często pastor kopał bagno, co? A może jest tak, że Musta posiada większą duszę niż biedak. Do nieba pójdzie zwierzę; inaczej jego boki nie błyszczałyby od takiej ilości jedzenia.

Riita Polio dobierała takie słowa i opowiadała w taki sposób, jak był oto w jej zwyczaju, gdy się rozogniła. A teraz właśnie była w swym żywiole. Zwróciła się do pastora rzeczywiście w potrzebie, ale wiadomo było, jak to się zakończyło. Ryba w wodzie miałaby raczej więcej współczucia! I dlatego Riita była taka ponura i niecierpliwa, tak zgorzkniała i rozmowna. Gdyż widziała coś na plebanii, a ponieważ człowiek ma oczy... Widziała, jak oszukuje się biednego. Była to w każdym razie kradzież, jeśli chcemy to powiedzieć wyraźnie!

Te wynurzenia czyniła Riita Pólló w sklepie Polso, w obecności wielu ludzi. Tak się złożyło, że i Mari Ramę była tam obecna, która ponownie była w drodze, by ochrzcić swego pierworodnego. Zebrała potrzebne pieniądze, udała się więc powtórnie w wielokilometrową

drogę z niemowlęciem w brzozowym tornistrze. I dziecko ochrzci się błyskawicznie. Bo i cóż za kłopoty miałyby wyniknąć, jeśli Mari Ramę miała ze sobą miedziaki zawinięte w róg chustki do nosa?

Ale trudy podróży - droga była teraz bardziej uciążliwa niż ostatnim razem - przyczyniły się do tego, że Mari Ramę była szczególnie podatna na gadaninę Riity. Była doskonałą słuchaczką. Krótkimi pytaniami i aprobującymi okrzykami potwierdzała, że podąża za słowami Riity.

Wreszcie zdobyła się na to, by wyrazić swoje zdanie, które w porównaniu z uwagami Riity Polio brzmiało bardzo skromnie. Powiedziała, że biednym z odludzia każe się pokonywać wielokrotnie daleką drogę, zanim da się dziecku imię. Tak przyjemnie było otworzyć swe serce. Ludzie nie myślą o tym, że diabeł może siedzieć na każdym drzewie...

I tak pogłoska leciała jak wiatr z jednego końca wsi na drugi. Musta pastora, mówiło się, zre państwową mąkę, mąkę dla biednych. Nic dziwnego, że boki jego błyszczą jak jedwab, jeśli zre mąkę, która powinna właściwie być w żołądkach biedaków.

Veija Kataja, ciekawski człowiek, jako jeden z pierwszych usłyszał o tej gadaninie, która rozprzestrzeniła się lotem błyskawicy. Rosła, pęczniała, zmieniała się. Było dużo języków i tyle samo głów, w których fantazja dokonywała swego dzieła... Właściwie gadanina ta powinna bardziej obchodzić Veijego Kataję, zarządcę i stróża mąki niż pastora z Kaira wraz z jego słynnym jedwabistoczarным koniem. Lecz nie uraziły one Veijego Kataji, tak zatwardziało było jego serce w stosunku do świata. Uśmiechał się z zadowoleniem i chichotał, pogładził ręką swą brodę i stwierdził: - Wkrótce wyschnięty brud odpadnie od ogona.

Pastor Borgh był ostatnim człowiekiem w całej parafii, do którego uszu doszło, że każe on mieszać kradzioną mąkę do pokarmu Musty. Opowiedziała mu o tym żona. Od dawna wiedziała, co ludzie mówili, lecz cierpliwie zatrzymywała to dla siebie - jako wartościową broń w ewentualnej kłótni małżeńskiej. Takimi doniesieniami można bowiem najlepiej ujarzmić męża i przywołać go do porządku! Nosila więc wiedzę o tym, co mówili ludzie, jak kamień w pięści, aż nadszedł moment, w którym uznała za konieczne go użyć. Dopięła swego: działanie było piorunujące. Borgh zastygł jak sowa, która wyrwana została ze swego dziennego snu.

Aha, robili z niego rozbójnika i łupieżcę? Ze swego własnego duszpasterza! Oho! Tego było za wiele. Opamiętajcie się! Jeśli nie można było zapchać babskich gąb mąką, to trzeba je nauczyć w inny sposób, by poskramiały swój język! Pastor z Kaira rozpytywał naokoło, dopóki nie upewnił się, iż wie, kto dał początek gadaninie.

Poleciał wnieść oskarżenie przeciw Riicie Polio i Mari Ramę. Musiały stawić się na następnym posiedzeniu sądu jesienią, by odpowiedzieć za brzydkie pomówienie i obrazę

pastora Borgha.

Potężny i ociężały Juhani Lunki - wędkarz i pieśniarz - człapał w pewien smutny, blady wieczór wiosenny po resztkach śniegu. Po śniegu” który stwardniał pod przejrzystym niebem nocy i który w dzień, gdy świeciło słońce i wiał łagodny wiatr, stawał się miękki. Gdy przybył do wielkiej zagrody Kataja, rzucił narty o poręcz schodów, otworzył drzwi, przeszedł zataczając się przez izbę i wyciągnął się na ławie przy piecu.

Pan domu, z brodą i łysiną, zwawy i jak zawsze ciekawski, widział z okna komory, jak Lunki zbliżał się i wchodził do izby. Pomyślał wpierw, że Lunki jest pijany, ale czyżby spirytus wystarczył na tak długo? Sporo czasu już minęło od chwili, gdy Kataja dowiedział się, że Lunki wraz z innym biedakiem pędził na odludziu wódkę, tę diabelską lurę. Dobrobyt nie jest dobrą rzeczą dla słabych! Niedostatek, ciągła troska o utrzymanie się przy życiu zmusiły Juhani Lunkiego do pracy, prawdziwej pracy, którą teraz czuł w kościach. Kopał, by ludność dotkniętych mrozem obszarów dostała chleb. Lunki rzucił się jak hiena na robotę - to Kataja wiedział - tak, że otrzymywał sporą ilość mąki. I wtedy pojawił się diabeł i kazał mu pędzić wódkę, tę lurę, która wyglądała jak woda! Pomysł gubernatora z pewnością był dobry, by zarobek wypłacać w mące, aby nie mógł zostać użyty na błyskotki i rozpustę, lecz jakże niedoskonałe jest postępowanie człowieka!

Lunki leżał wyciągnięty na plecach, wyczerpany pracą, a Veija Kataja powoli uzmysłowił sobie, że mężczyzna nie był pijany. Drżał i trząsał się z zimna, jęczał i skamlał jak chory człowiek. Praca przy rowie odwadniającym przerosła jego siły. Był zbyt niepohamowany i gwałtowny - w dodatku ciążyły na nim grzechy, za które zawsze ponosi się karę!

- Akurat tutaj musi się wyciągnąć - powiedziała żona Kataja, chude stworzenie; jej mina wyrażała niechęć i wstręt.

- Zostaw, zostaw! - Veija Kataja próbował ją ułagodzić. - Czytaliśmy przecież, że należy przyjąć zmęczonych wędrowców.

- To szelma!

- Szelmą może zostać każdy, każda kreatura ludzka.

„Kreatura ludzka” było pewnego rodzaju przekleństwem w ustach Kataja; był on wierzącym laestadianinem i nie przystało mu kląć jak zwyczajnemu śmiertelnikowi. Aż do sędziwego wieku zachował ciekawość ludzi i życia. I dlatego fakt, że brudny, nędzny człowiek rzucił się w jego izbę na ławę, nie wywołał w nim gniewu ani też zmartwienia, lecz raczej uczucie zadowolenia. Co kryło się w takim człowieku jak Lunki? Przybył gdzieś z południa jak Kain, osiedlił się na odludziu, gdzie pełen gniewu, grzmiąc jak upiór mieszkał w mizernej

chacie, sam lub z Reetą, tym grubym głupkiem. Wędkował i rzucał sieci do wody i zdawało się, iż żyje jedynie z wytropionych zajęcy i łowionych szczupaków. Ów człowiek uczęszczał długi czas do seminarium duchownego i pochodził z warstwy panów. Mogła być to prawda, gdyż był w nim pewien rodzaj kultury i bogata wiedza. Niekiedy, gdy coś wywoływało w nim nienawiść lub współczucie, wymyślał pieśń. Widocznie w jego głowie coś się popsło, tak że stracił opamiętanie i w swej wściekłości został leśnym człowiekiem. Jednak gdy się rozchorował, szukał opieki u innych. I teraz leżał tam na przypiecku, zarośnięty, obdarty, brudny, przesiąknięty dymem i diabli wiedzą jeszcze czym. Veijego Kataję podniecała myśl o gorączce i śmiertelnej malignie, gdyż być może teraz rozbłyśnie światło, które pozwoliłoby mu wejrzeć w mrok tego ludzkiego życia.

- Jesteś chory? - spytał.

- No, niezbyt zdrowy - mruknął Lunki.

- Czyżby twoja Reeta nie pielęgnowała cię? Gdzie to ona się podziewa? - pytał ciekawie Veija Kataja, chociaż wiedział i bez tego, jak się sprawy miały.

- Jest gdzieś w parafii - mruczał Lunki.

Tak, tam to biedna Reeta wędrowała od zagrody do zagrody, gruba, otępiała i ograniczona, wędrowała i zebrała. Była w tym bardzo zręczna. Zawsze coś dostała i życie toczyło się dalej. Wlokła ze sobą poźółkłego chłopca, który ssał i pierś, i fajkę. Lunki nie miał w sobie nic z mężczyzny, chociaż był chłopem jak dąb - klocowatym i silnym. Silna była też jego woń. Reeta była w równie małym stopniu prawdziwą kobietę. Mimo to potrafili oboje przywołać z mroku niebytu nową duszę ludzką...

Tak więc Juhani Lunki, wielki, ciemny mężczyzna, o którym szeptano, iż kiedyś daleko stąd popełnił coś strasznego i uciekł przed ramieniem sprawiedliwości do kryjówki na odludziu, leżał teraz chory w domu Kataja. Tam też pielęgnowano go tak, jak było to wówczas w zwyczaju w parafii Kaira: kto był chory, to był chory, a kto wyzdrowiał, ten wyzdrowiał. Nie potrzebował przecież wiele jedzenia. Wyglądał źle i łysawy Veija Kataja często siedział przy nim i bogobojnie do niego przemawiał. Próbował zaznajomić chorego wprost lub okrężną drogą z tym, co dzieje się po śmierci. Starym zwyczajem chrześcijaninowi, który odchodził, dawano na drogę pożywienie...

Juhani Lunki słyszał też być może wszystko, gdyż skamlał i jęczał. Ale pewnego dnia, kiedy tak leżał chory od długiego czasu, otworzył szeroko oczy i powiedział wyraźnym głosem: - Gdyby przyszedł ksiądz... - A po chwili ciszej: - I komisarz policji...

Życie wstąpiło wtedy w Veiję Kataję, który i tak, chociaż był odludkiem i leastadianinem należał do zwawych. Może coś tam się odsłoni, i będzie mógł to zobaczyć!

Szybko przeniósł Lunkiego z przypiecka do własnej izby. Nie przeszkadzało mu przy tym wcale, że jego skwaszonej połowicy niemal szlag nie trafił, gdy zobaczyła tego brudnego, brodatego olbrzyma na białym prześcieradle pod przykryciem. Miał też oczywiście wszy, ten nieokrzesany kmiot.

Ale Veija Kataja był zadowolony, iż może pokazać panom, jaki to on miał zwyczaj troszczenia się o biednych wędrowców. Nie trwało długo, a już przyszli: gruby, stary, zmęczony komisarz policji, z wiecznie żarzącym się niedopałkiem cygara w kąciku ust, i blady pastor w błyszczących okularach. Zastano ich w domu. Droga nie była bowiem daleka, a wiadomość zmusiła ich do pośpiechu. Także i oni zrozumieli chyba wyjątkowość tej odświętnej chwili, tę rzadką okazję w monotonii życia na odludziu. Nie wiadomo było przecież, ile grzechów, ile ponurych rzeczy ujawni ten niedołączny, zagadkowy człowiek, gdy przygotowywać się będzie do zejścia z tego świata...

Kataja zaprowadził ich do izby, gdzie leżał chory. Gospodarz z chęcią by tam pozostał, ale chyba nie wypadało, toteż niechętnie wyszedł. Ale nie był w stanie poskromić swej ciekawości. Dlatego też podkraść się w miękkich filcowych butach do drzwi izby, przytknął ucho do dziurki od klucza i zaczął się wsłuchiwać.

Słyszał, jak pastor dowiadywał się o samopoczucie Lunkiego, a chory odpowiedział, iż sądzi, że umrze. Potem nastąpiło długie, pełne oczekiwania milczenie. Pastor już chrząknął, by widocznie coś powiedzieć, gdy dał się słyszeć głęboki, złośliwie bulgoczący głos Lunkiego: - Poprosiłem was tutaj... - Potem było długo cicho i Veija Kataja robił się już niecierpliwy, gdy Lunki ciągnął dalej: - Jezus powiedział bowiem: Podążajcie za mną! Więc powiedziałem sobie, że byłoby dobrze umrzeć pomiędzy dwoma złoczyńcami.

- Ach, ten łotr! - wymamrotał Veija Kataja za drzwiami i skrzywił twarz w osobliwym uśmiechu. Podglądał próbując coś dojrzeć przez dziurkę od klucza, ale nie mógł niczego zobaczyć. Znowu było długo cicho w izbie, następnie usłyszał głos pastora: - Czy Lunki nie ma nic więcej do powiedzenia?

-■ W tym było przecież wszystko...

- Tak, faktycznie - powiedział komisarz policji. - Lecz mnie wydaje się, że Lunki nie odda jeszcze ducha, a my nie mamy czasu czekać.

Panowie chcieli najwidoczniej odejść, toteż Veija Kataja musiał jak najszybciej zniknąć sprzed drzwi. Oddalił się cicho, broda trzęsła mu się, a łysina błyszczała. Wkrótce goście chorego wyszli. Byli bardzo zdawkowi i na Kataji, który przecież wiedział o wszystkim, sprawiali wrażenie nieco zawiedzionych i bardzo dotkniętych.

- Jest taki sam jak dawniej - zauważył komisarz - tylko szelmostwa ma w głowie.

-■ Jest kreaturą ludzką - westchnął Veija Kataja.

Stopniowo do serca i głowy przenikał gniew: Jak długo Lunki ma zamiar jeszcze leżeć w jego izbie, na białym prześcieradle, pod grubym przykryciem? Gdy panowie odeszli, wszedł szybko do chorego, który teraz wyglądał dużo lepiej. Oczy mu błyszczały, a jego owłosiona twarz uśmiechała się z zadowolenia.

- Przyszły mi do głowy odpowiednie słowa - powiedział.

- A jak jest z duszą? - spytał Veija Kataja.

- Także i ona czuje się tak, jakby zażyła lekarstwa. Wydawało się, iż chory czuł się już całkiem nieźle, jednakże pozostał w łóżku pod przykryciem. Jak długo jeszcze?, myślał zatroskany Veija Kataja, gdy udawał się do swych codziennych zajęć.

Lecz Juhani Lunki wkrótce opuścił łóżko. Gdy Kataja zajrzał następnym razem do izby, Lunki już wstał. Podciągnął spodnie i zapinał pasek, przy którym wisiał puukko.

- Nie mogłem jeszcze tym razem umrzeć, więc muszę chyba pójść do mej chałupy.

- Dasz tam sobie radę?

- Cóż, ryba ikrzy się i w tym roku, a w rogu jest jeszcze worek mąki. Świeżą zupę z ryb będziesz miał i ty, bo tak cierpliwie byłeś miłosiernym samarytaninem...

Wkrótce Juhani Lunki człapał na nartach w kierunku mrocznego lasu, powoli, zdecydowanymi ruchami. Stwardniały śnieg skrzypiał, a wiosenny wieczór mienił się błękitem i czerwienią. Upiornie przemykała ciemna postać. Skąd on pochodzi?, pytał siebie Kataja. Dokąd zmierza i czym jest? Nic się nie rozjaśniło, chociaż wyglądało na to, że iskra chce zapłonąć.

- Jest kreaturą ludzką - stwierdził Veija Kataja.

6.

Jesienne powietrze było przejrzyste jak szkło; drzewa na zboczach i wzniesieniach widoczne były z dużej odległości. Obumierające liście ubrały się w kolory, zanim spadły, przynosząc ziemi dobrodziejstwo. Liście szybowwały do podnóża drzewa, które je nosiło, albo też jesienny wiatr zawirowywał nimi w dal.

Gdy w pewien piękny poranek jesienny Mari Ramę wędrowała ścieżkami pustkowiec do osady, czuła się jak liść na wietrze, który nie wiadomo dokąd zostanie poniesiony. Jej ubranie nie było jednakże tak radośnie kolorowe jak liść jesieni - było ciemne, jak jej myśli.

Tymi samymi ścieżkami wędrował pewnego dnia ławnik z Kaira, zgryźliwy staruch. Wezwał gospodynię z Ramę, by stawiała się przed sądem z powodu zniesławienia pastora Borgha. Ogromny, pewny siebie i wygląd dający na złośliwca ławnik podobny był do czarnej chmury gradowej, gdy pojawił się w Ramę i wręczył wezwanie, które spadło jak grom z

jasnego nieba. Mari Ramę była jak sparaliżowana. Dokąd to może trafić człowiek! Któż by pomyślał, że obrazi kiedys pastora? Czy nie zdarzyło się to w sklepie Polso? Teraz odczuwała gorycz, nawet nienawiść w stosunku do Riity Polio. Że też diabeł przywiódł ten niewyparzony pysk właśnie w to miejsce, gdy ona tam była. Wtedy przyjemnie było się przysłuchiwać; i tak doszło wówczas do tego, że i ona dorzuciła słówko, jakby akompaniament. Lecz przede wszystkim mówiła Riita Polló. Z jej ust spływały oszczerstwa - jeśli to były oszczerstwa - a teraz Riita także i ją wtrąciła w nieszczęście.

W dniach wyczekiwania Mari Ramę była bardzo przygnębiona, chociażby już tylko dlatego, iż mąż jej obchodził się z nią tak szorstko. Był on zdania, że nie wymaga się zbyt wiele od człowieka, jeśli się żąda, by trzymał język za zębami. A teraz trzepocze się jak głupia ryba na haczyku...

Czas mijał, nastał ten dzień, kiedy w osadzie miał się zebrać sąd. Dzień ów budził się bardzo piękny, lecz dla Mari Ramę świat był bardziej ponury niż w rzeczywistości. Miała wrażenie, że nie będzie w stanie wyruszyć ze swej bezpiecznej kryjówki na odludziu. Tam, w osadzie będzie oglądana, męczona i wyśmiewana przez gawieź. Co się stanie, jeśli nie pójdzie? Mąż jej powiedział, że jeszcze tego brakowało. Za coś takiego spadłyby jeszcze w dodatku kary pieniężne. Nie, nie można uciec przed ramieniem sprawiedliwości, jeśli nawet ucieknie się nie wiadomo jak daleko na odludzie!

I tak Mari Ramę musiała rozpocząć swą mozolną wędrówkę, daleką cierniową drogę do osady w Kaira. Mąż jej pozostał w domu, by doglądać gospodarstwa i opiekować się pierworodnym, za którego sprawą matka Mari musiała tyle wędrować. Pod sercem nosiła drugie dziecko - nie widziało ono jeszcze złego świata.

Teraz Mari mogła ze swej chaty aż do zagrody Salo iść letnią drogą, a stamtąd prosto nowym traktem. Droga była już gotowa, gotowa na tyle, na ile pozwoliła mąka, którą przyznano na prace publiczne. „Droga państwowa” było być może zbyt szumnym określeniem dla tej drogi, lecz mimo wszystko - można było po niej jeździć. Nawierzchnia była wyrównana, tu i ówdzie wysypana nawet żwirem, a przez bagniste miejsca wiodły groble. Tak długo jak droga była nowa, można było wygodnie jechać wozem, także i pieszo poruszało się bez wysiłku. Jednakże w najodleglejszym zakątku swego serca Mari Ramę odczuwała utajoną wrogość w stosunku do drogi. Przyniosła z pewnością pracę, także zarobek dla jej męża - mąkę, chleb, ale przyniosła też coś innego.

Czyż w gruncie rzeczy państwowa mąka nie była przyczyną tego, że Mari musiała stanąć przed sądem? Miała wrażenie, że ta nowa droga zbudowana została tylko po to, by świat mógł ją złapać za włosy i męczyć.

Tak rozmyślała Mari Ramę i człapała boso przed siebie. Buty niosła starym zwyczajem pod pachą. Były drogie i nie - wolno ich było niepotrzebnie zdzierać. Nałoży je dopiero na skraju osady.

Mari wędrowała rano po oszronionych, mokrych od rosy ścieżkach leśnych. Od czasu do czasu widziała renifery, które na połaciach Kaira nie były rzadkością i stanowiły własność ludzi zamożnych. Zazdrościła tym chryzym zwierzętom, które mogły pozostać na wolności.

Gdy szła nową drogą, a słońce docierało do najwyższego punktu, który osiąga jesienią, do Mari Ramę dołączył się towarzysz wędrowki.

Na jednym z zakrętów drogi siedziała na kamieniu Leena Niedźwiedzie Futro i jadła chleb z masłem. Mari Ramę krępowała się początkowo i była bardzo nieufna, gdyż pomyślała, iż Leena Niedźwiedzie Futro dlatego jest w drodze, aby się dowiedzieć, co się stanie z oszczercą pastora. Lecz Leena już ją zauważyła, tak że nie mogła uciec w las; a we wsi żyli jeszcze inni, którzy byli dla niej cierniem w oku. Przysiadła się więc do Leeny i zajadała swój prowiant.

Dalej poszły razem. Lenna Niedźwiedzie Futro nie była wprawdzie zaprawiona w chodzeniu, ale i tak zdążyły jeszcze na czas do sądu. Leena także była boso i niosła buty pod pachą. Paplała, że przyjemnie jest czuć gołymi podszwami ziemię. Była bardzo miła, powiedziała, iż słyszała, co się przydarzyło Mari. Niekiedy człowiek wpada w pułapkę, jak dzikie zwierzęta - bez własnej winy. Każdy mówi o jedno słowo za dużo, to trzeba przecież rozumieć. A przed kim można otworzyć *swe* serce, może przed Lisem Przecherà? - Skąd miałam wiedzieć, że sprawa przybierze taki zły obrót? - powiedziała Mari Ramę łkając.

- Ty nie wiesz, inni też wiedzą równie mało. Prawo jest takie, jak się je potrafi czytać. Może pójdziesz nawet do więzienia. Przygotuj na to *swe* serce... Lecz cóż to szkodzi? jak mawiał świętej pamięci Sakari. Także i więzienia są zbudowane dla ludzi! Może będziesz po latach mile to wspominać, może to będzie jeden jedyny raz, że zobaczysz świat w inny sposób niż przez okno w twej chacie, inaczej niż na odludziu Kaira.

Tak pocieszała Leena Niedźwiedzie Futro, że Mari Ramę zapomniała o wszystkim i przysłuchiwała się jej kojącemu głosowi. Może kryła się w tym i mądrość. Była bowiem człowiekiem, który nie lamentował i nie załamywał rąk. W jej towarzystwie łatwiej było przybliżyć się do groźnego sądu niż w gorzkiej samotności.

Siedziba strachu była równocześnie siedzibą kupca Polso. Dom był wystarczająco duży, by i sąd znalazł w nim miejsce. Może i Polso o tym myślał, gdy budował dom. Gdyż dni, w które odbywał się sąd, były dla Kaira jednocześnie jakby dniami targowymi. Zbierali się wtedy ludzie, nawet jeśli nie byli wzywani przez sąd. A kupiec Polso pomyślał sobie, że

dobrze, by było, gdyby miał w pobliżu swoją ładę, żeby ludzie mogli na niej kłaść pieniądze...

W ten jasny, prawie letni dzień jesieni na piaszczystym podwórzu Polso roiło się od ludzi. Spotykali się znajomi, witali i opowiadali nowości. Z fajek wydobywał się dymek, a tu i ówdzie czuć było wódkę.

Jaako Kortteinen śmierdział już z daleka wódką. Głupie chwościki przy butach kołysały się gwałtownie w tę i z powrotem. Gdy pojawiały się wokół niego znajome i nieznajome twarze, czuł się jak ryba w wodzie; wtedy czuł, że żyje. Teraz udawał chwata bardziej niż zwykle. Chciał ukryć wewnętrzny niepokój, który go ogarnął, ponieważ nie mógł już jak dawniej oddawać się całkowicie rozkoszom swej duszy. Latem zaprzestał picia. Bo w zagrodzie Korte oprócz jego brzydkiej połowicy była teraz Anna, młoda i niezwykle piękna dziewczka. Jaako zaczął się nią zajmować i posunął się nawet daleko, bo właściwie aż do sedna sprawy. Tak, posiadał najbrzydszą i najpiękniejszą kobietę świata... Ta myśl przyprawiała go o zawrót głowy. Trzeba dbać o takie nowe szczęście.

Dlatego Kortteinen miał nieczyste sumienie. Nie miał właściwie żadnego powodu, by czuć się w tłumie jak ryba w wodzie, chociaż tak czynił. Ale człowiek musi się sprawdzić przed światem i uporządkować rzeczy, które są w nieładzie. Także i sprawa jego nowego szczęścia uporządkuje się.

Na podwórzu domu, gdzie obradował sąd, nie mogło zabraknąć oczywiście Veiji Kataji. I on należał do tych, którzy w tłumie ludzkim czują się jak u siebie w domu.

- Honor! honor ziemski! - chichotał i gładził swą bródkę. - Iz powodu takiej drobnostki łapie się teraz te biedne kobiety, jak jakich włóczykijów... - Wskazał w kierunku cmentarza, gdzie krzyże - jedno ze zbutwiałego drewna, inne z żelaza - wysoko strzelały w górę. W sumie jednak sprawiały wrażenie zapomnianych i opuszczonych.

- I tam spocznie się potem w całej chwale.

Na podwórzu znalazł się także i Juhani Lunki - chudy, wysoki i ciemny. Był starannie ogolony, nosił odświętne ubranie, na którym jednakże tu i ówdzie połyskiwały rybnie łuski. Przez chwilę spoglądał na cmentarz i rzekł: - Rzeczywiście! Tam stoi rzymski krzyż, narzędzie tortury. Jest już niezmiernie stary i przywędrował z daleka.

Od czasu do czasu Lunki czynił takie uwagi, na które żaden z obecnych nie potrafił odpowiedzieć. Być może pusty był worek od mąki w jego biednej chałupie; i puste były też chyba porwane sieci, które rankiem zebrał w nędznym jeziorze. Ale i we wszechświecie było wiele pustki.

I Lunki stał teraz w tłumie, połyskujący rybimi łuskami i spoglądał wokół siebie zimnym, dumnym wzrokiem, tak jakby całe Kaira wraz z mieszkańcami należała do niego.

Wielu takich, którzy w księdze wieczystej zapisani byli jako właściciele ziemi, a także i ci, którzy czuli się dobrze jedynie wtedy, gdy pracowicie wylewając pot mogli orać ziemię, wyglądało obok niego mniej znacznie. Na przykład Aapeli Oltava, który siał i zbierał na swoim polu. I on był tutaj i załatwiał to czy tamto. Zatoczył nieco krąg i witał się ze znajomymi gorzkimi, rubasznymi słowami. Nie zatrzymywał się długo, gdyż w domu czekała robota: ziemia musiała dawać owoce oraz musieli się na niej pojawiać nowi mieszkańcy. Było to głęboko zakorzenione w jego duszy.

W środku, w dużej izbie kupca Polso sędzia i ławnicy zajęli miejsca za długim stołem. Następnie zawołano ludzi - jednego jako oskarżyciela, innego jako oskarżonego - którzy wiedli spory ze sobą lub z władzą o towary, graniczne płoty, alimenty lub pobicia po pijanemu. Jeśli nawet obszar Kaira był tak rozciągnięty, to jednak każdy miał sąsiada, a od czasu do czasu zdarzały się niesnaski. Wielu mogło się jednak pochwalić, że jeszcze nigdy w swoim długim życiu nie otwierało drzwi sali sądowej. Mari Ramę nie należała jednakże już do nich. Jak płochę leśne zwierzę skradała się po podwórzu sądu za potężną Leeną Niedźwiedzie Futro.

Szerokie plecy Leeny były jak tarcza; zasłaniały ją przed spojrzeniami, które, jak się jej wydawało, spadały na nią ze wszystkich stron jak strzały. Zatrzymała się i spoglądała cicho i otepiałe przed siebie. Nagle zauważyła swą towarzyszkę niedoli Rittę Poilo. Twarz Ritty była skrzywiona w uśmiechu, lecz jej oczy iskrzyły się nienawiścią i szyderstwem. Na wpół szeptem, na wpół głośno wyjaśniała nieustannie, że ponieważ władza trzyma je obie - te największe grzesznice - jak jastrząb za kark, to parafia jest znowu bez skazy. A potem śmiała się głośno, złośliwym śmiechem sroki.

Lecz Mari Ramę odczuwała w swym sercu niechęć do niej. Takie to kraczące ptaszysko! Że też musiała także i ją zaciągnąć w to miejsce wstydu!

Nie odzywała się ani słowem. Nie, drugi raz jej nie oszukają!

Mimo swego zmieszania zrozumiała powoli, że ich sprawa będzie miała miejsce dopiero następnego dnia. Szukała schronienia u Leeny Niedźwiedzie Futro; obie zakwaterowały się na noc w tym samym gospodarstwie.

Mari Ramę nie mogła jednakże zmrużyć oka przez całą noc. Leżała na ławie i stale wzdychała. W końcu podniosła się, wyszła na ciemne podwórze i spoglądała na gwiazdy na jesiennym niebie. I wtedy przyszło jej na myśl zdanie, które mówiło o drodze człowieka w niepewność.

Gdy Mari Ramę stała przed trybunałem sędziowskim w wielkiej izbie Polso, zdawało jej się, że wszystko otulała senna mgła. Wszystko było tak nierealne, tak bolesne i okropne, że mogło to się zdarzyć jedynie we śnie. Mari Ramę ciągle się zastanawiała, czym właściwie

zawiniła. Z pewnością było to coś okropnego; sędziowie i ławnicy nie na próżno zebrali się za stołem, na którym nie stało nic do jedzenia, a leżały jedynie dwie księgi, tak grube, iż zdawało się, że zawierają paragrafy na dowolny przypadek i dla dowolnego człowieka.

A więc Mari Ramę stała tam obecnie obok Riity Polio, która swą postawą i ubogim odzieniem sprawiała niemalże demonstracyjne wrażenie. Obie stały przed sędziami jak całkowicie bezbronne stworzenia. Na poradę prawną brakowało im środków; być może też nie wiedziały, że *mogą* z niej skorzystać i że by im się przydała. Gdy podały swoje nazwiska i pochodzenie, komisarz policji, po którym widać było, że bardzo niechętnie rezygnował na chwilę ze swego cygara, odczytał mrucząc sennie oskarżenie. Pastora Borgha nie było. Sędzia, którego ubiór, delikatne ręce i gładka twarz już z daleka pozwalały rozpoznać pana, spytał, co oskarżone mają do powiedzenia.

Mari Ramę nie wydobyła z siebie ani słowa. Stała jedynie i patrzyła; lecz surowa, zgorzkniała Ritta przemówiła. Spytała bezczelnie, czy biedacy muszą obecnie smarować swe usta smołą? Wkrótce jej potok słów przeszedł w szloch, tak bardzo się zdenerwowała. Sędzia kazał jej wyjść, by się uspokoiła. Zaczęło się przesłuchanie świadków. Kupiec Polso i kilku innych złożyli przysięgę i próbowali przypomnieć sobie minione wydarzenia. Każdy opowiadał następnie po swojemu, jeden gładkimi słowami i płynnie, drugi ociężale i powoli o tym, co Riita Polio powiedziała o państwowej mące i błyszczących bokach Musty - konia pastora. Jeden przypomniał sobie, że powiedziała, iż to, co dostanie się niesłusznie, nie daje błogosławieństwa; lecz można zobaczyć, że skradzione służy dobrze przynajmniej koniowi pastora. Gdy pytano świadków o Mari Ramę, to większości z nich przypomniało się, że bardzo podobały jej się wypowiedzi Riity i przyjmowała je z zadowoleniem i że ze swej strony mówiła o daremnych wyprawach związanych z chrztem. Powiedziała, że już w sieni plebanii trzeba dzwonić miedziakami, jeśli drzwi mają się nieco uchylić.

Ponownie zapytano oskarżone, co mają do powiedzenia. Mari Ramę milczała. Postanowiła nie brać na siebie nowej winy, przynajmniej poprzez słowa. Riita Polio, która od kilku chwil ponownie była w sali, wyraziła następującą myśl: - Najlepiej, jeśli ktoś taki jak my zamknie pysk, w przeciwnym razie złapie się w pułapkę paragrafów.

Musiały wyjść, a sąd obradował. Narada była krótka. Młody elokwentny sędzia powiedział, że oskarżone zasłużyły na solidną karę już chociażby dlatego, by każdy pojął, że nie może mówić tego, co mu akurat przyjdzie do głowy, lecz że musi odpowiadać za swe słowa. Ławnicy oparli łokcie na kolana, patrzyli w ziemię i tęskno im było do fajki. Najrozmowniejszy z nich powiedział ziewając: - Chyba słuszne, że kobiety poniosą karę.

Pióro pisarza sądowego skrzypiało; otworzono drzwi, zawołano oskarżone. Riita Pólló

otrzymała dziewięć, Mari Ramę sześć miesięcy więzienia za zniesławienie.

Mari Ramę patrzyła przed siebie i widziała wszystko jak przez senną mgłę. Więzienie... Leena Niedźwiedzie Futro już to przepowiedziała: „Przygotuj na to twoje serce!”

Lecz Riita Polio, której oczy były jak wylot lufy karabinu, otworzyła ponownie usta: - Ze wszystkimi dziećmi? Przecież one potrzebują chleba...

- Dobrze, już dobrze - przerwał jej sędzia. - Pani nie ma prawa głosu.

Oskarżone mogły odejść; pozostawione były na razie na wolności. W odpowiednim czasie władza ujmie je swą silną ręką.

Gdy Mari Ramę usłyszała, że może odejść, ruszyła powoli w drogę do swej chaty, która przykucnięta była głęboko na odludziu gdzieś nad bagnem. Nie zamieniła z nikim ani słowa. Mari podobna była do zwierzęcia, które uciekło z pułapki. Sześć miesięcy... Na jakiś czas pozwolono jej jeszcze chodzić na wolności, lecz pewnego dnia będzie musiała pójść...

Mari Ramę mogła żyć jeszcze tygodniami, nawet miesiącami wolnością swego samotnego domostwa. Państwo, ten nienasycony żarłok, nie śpieszy się z karami. Śnieg pokrył już rozległy Kraj Kaira, gdy w zagrodzie Ramę pojawił się konwojent więźniów. Był to ten sam złośliwie wyglądający stary ławnik, który kiedyś przyniósł Mari wezwanie.

Do uszu Mari doszło już przedtem, że zbliżał się wyjazd. Sprowadziła więc młodą krewniaczkę, która miała zaopiekować się dzieckiem i krową. Mąż był przecież daleko, na robotach.

A teraz Mari Ramę była więźniem, jednym z takich, o których śpiewa się pieśni. Brzuch jej był już tak duży, że ledwo mogła zapiąć krótką znoszoną kurtkę. Mari zagrzebała się w sianie na długich, koszykowych saniach. Łzy napływały jej do oczu, gdy na brzegu bagna odwróciła jeszcze raz głowę w stronę chaty...

Koń brodził poprzez zaśnieżone pustkowia, w którym więzienie wydawało się czymś dalekim i nierealnym. Koło zagrody Salo wjechali na nową drogę i koń posuwał się szybciej do przodu, gdyż droga była już przetarta. Żądni wrażeń małżonkowie z Salo patrzyli przez szyby, a chłop mrucał pod nosem: - Wiozą więźnia. Do tego potrzebna więc nowa droga!

Nocować przyszło więźniom w Kaira. Koń musiał wypocząć, a następnego dnia na te same sianie miała zostać zabrana druga skazana: Riita Polio.

Nie była to taka prosta sprawa jak w przypadku Mari Ramę. Gdyż wypowiedź Ritty Polio przed sądem, że trzeba ją skazać wraz z całą jej rodziną, nie była gołosłowna. Jej chałupa była, jak to się mówi, prawdziwym obrazem nędzy i rozpaczy. W małej izbie roило się jak w mrowisku od małych nicponiów i berbeci, ubranych zaledwie w koszuliny. Jasną rzeczą więc było, że na czas, gdy matka będzie odbywała karę, trzeba będzie znaleźć nie tylko chleb, ale i

kogoś, kto zatroszczy się o dzieci.

Gospodarze z Kaira spuścili głowy. Cała parafia, innymi słowy oni wszyscy zostali skazani na karę pieniężną. Czy taki był zamysł sprawiedliwości? Wzrosną wydatki. A to odbije się na podatkach...

Ale przewodniczący gminy Veija Kataja, który pomimo swej pobożności był wesołym człowiekiem, śmiał się w kułak:

- Popatrz tylko, co to za stworzenie ten pastor! Na koszt społeczności przywraca swą cześć!

I rzeczywiście - nie widziano wyjścia z sytuacji. Riita Polio, która była tak nieużytecznym człowiekiem, potrzebowała na czas pobytu w więzieniu zastępczyni. I to na koszt, gminy! Chłopi spoglądali ganiącym wzrokiem na Veiję Kataję. Jakżeż człowiek, który jest tak pobożny, może wyglądać tak beztrzesko i wesoło...

W następny poranek długie sanie konwojenta więziennego ruszyły ponownie w drogę, z tyłu siedziały obie więźniarki otulone w siano i podarte przykrycia ze skór owczych. Mari Ramę przenocowała na ławce w izbie konwojenta więziennego, tak jak jakaś zwyczajna podróżna. Widocznie nie bał się, że ucieknie. Nie miała też kajdan ani też niczego, co by przypominało o jej losie.

Riita Poilo śmiała się szyderczo:

- Mamy naprawdę szczęście, że już za życia możemy podróżować specjalną pocztą. Zazwyczaj wiezie się nas w ten sposób tylko na cmentarz.

Dawno już nastał dzień, a mimo to Kaira spowita była jeszcze w ciemności. Tak jak zawsze o tej porze roku. Zza chmur wyzierał księżyc, tak że było wystarczająco jasno, by w pobliżu magazynu ze zbożem mogły rozpoznać nadchodzącego pastora Borgha. Miał na sobie znoszone futro, a z ponad postawionego kołnierza połyskiwały okulary. Szedł, jak się wydaje, na poranny spacer, przy czym zwykle rzucał spojrzenie na sklep kupca Polso.

Serce Riity Polio było zbyt przepelnione. Musiała coś powiedzieć:

- Teraz to pasterzowi z Kaira a z pewnością lżej, gdy jego zagubione owieczki są znowu bezpieczne! - Ale niezadowolona jeszcze z tego zaśpiewała krzykliwym i łamiącym się głosem:

Gdy przed drzwiami krata, dziewczyna przed złem ukryta...

Wiatr dmuchał mocno i przenikająco; niósł ze sobą kryształki lodu, których zimą w Kaira było pod dostatkiem. Koń posuwał się rączo do przodu i wkrótce wioska pozostała daleko z tyłu. Piosenka i odważne słowa w ustach Riity Polio zamilkły. Obie czuły smutek w sercu, miały wrażenie, jakby były w drodze, z której nie ma powrotu. Zdawało się, że Kaira pozostała na zawsze za nimi... A była to okolica, gdzie się urodziły, wyrosły i żyły; okolica,

którą dobrze znały. Pokochały też jej mieszkańców, nawet ich towarzysza, który prowadził z przodu konia za lejce i wioził kobiety do więzienia. Nawet pastor w swym znoszonym futrze nie wydawał im się już taki straszny w porównaniu z nieznanym, w kierunku którego podążały...

Pod osłoną ciemności kobiety wycierały swe policzki. Spowodował to zapewne ostry wiatr, który gwizdał ponad bagnami Kaira. Ale też coś innego, coś, co porusza człowieka. Musiały pokonać jeszcze daleką drogę, więcej niż sto kilometrów, by dotrzeć do miasta nad morzem, gdzie czekało na nie więzienie - budynek z kamieni, w którym z pewnością było ponuro. A zbudowano go tylko po to, by ludziom nie było w nim za dobrze... Było ono jednak dla ludzi - także dla ludzi z Kaira!

Z tego miasta wyruszyła kiedyś długa karawana na Północ, sanie załadowane workami mąki. I mąka państwowa spełniła swe zadanie: fermentowała, pracowała i przyczyniła się do wielu rzeczy, o których gubernator nie mógł nawet mieć pojęcia. Czy był to już ostatni przejaw działania mąki? Dwie ubogie kobiety w długich saniach sunących na południe?

Czyżby ostatni? Nigdy nie wiadomo, co jeszcze będzie. Gdyby wtedy błyskawica rozdarła ciemność przyszłości, to dostrzeżonoby być może, że działanie mąki widać będzie w Kaira jeszcze po dzień dzisiejszy. Zobaczyć można byłoby zaprzęgi, jadące poprzez bagno, pędy sosen nad rowami odwadniającymi, które wyciągały swe noski w górę, tu i ówdzie wykarczowany kawałek pola, które próbowano poszerzyć. Można by zobaczyć, jak Mari Ramę wiara z więzienia i dalej wiedzie życie w swej małej chacie. Nauczyła się, że w obecności innych trzeba milczeć. Ale tam, na łonie dziczy, w rodzinnym gronie nieraz opowiadała o tym, jak ciężko i niełatwo było ochrzcić jej pierworodnego. Kto wie, może jej wspomnienia przyczyniły się do tego, że mały, który kiedyś podróżował w brzozowym tornistrze, wyrósł na jednego z pierwszych socjalistów odludzia Kaira, na wesołego grajka i bezbożnika. Ale umarł w kwiecie swej młodości, zginął w latach wojennych, które zmieniły świat; pochowano go w masowym grobie.

Drugi syn Mari Ramę, ten, którego nosiła pod sercem, gdy sanie wiozły ją do więzienia i który też tam się urodził, powracał później często w to miejsce i spędzał tam nawet całe lata. Ale nie dostawał się tam przez przypadek czy też przez uśmiech złego losu, tak jak było to w przypadku matki. Trafiał tam z wyboru. Mówił sobie, że należałoby się zabrać za istniejący porządek społeczny, uprawiać go i zmieniać, tak jak chłopci na swych nędznych polach czynią to z odwiecznym lasem, by zrobić z niego żyzne, uprawne pole, gdyż społeczeństwo było także takim lasem.

Mari Ramę w swej daleko położonej chacie nie rozumiała syna. Dlaczego człowiek musi tak się śpieszyć, by zmieniać świat? Tak, że nie ma nawet czasu na przeżycie własnego

życia? I gdzie widać było oznaki tych zmian? Zdawało się, że życie jest takie jak dawniej. Mari Ramę wydawało się niekiedy, że syn jej był sam swoim największym wrogiem, gdyż stale pakował się do więzienia za rzeczy, których ona nie rozumiała. Nie kradł, nie mordował, nie podpalał i nie bił nikogo, a mimo to musiał iść na lata do więzienia. Może było to jakieś przekleństwo, które dotknęło go w ciele matki w czasie owej osobliwej podróży?

Tak to fermentowała ta mąka - państwowa mąka dla ubogich - jeszcze przez wiele dziesięcioleci. Działanie jej było inne, niż wyobrażał to sobie gubernator miasta na wybrzeżu, gdy z zaczerwienioną twarzą siedział dumnie w swoim gabinecie. Był on swego czasu przekonany, że jego pomysł nosi w sobie wszelkie znamiona genialności: jasność, przenikliwość i prostotę.

Jak się rzeczy miały naprawdę, nie dowiedział się nigdy.

Pentti Haanpaa (1905-1955), przedwcześnie zmarły pisarz fiński, pozostawił po sobie bogatą spuściznę literacką. Napisał około 300 opowiadań i kilkanaście powieści. Pochodził z rodziny chłopskiej, pracował jako flisak, robotnik rolny i leśny. Był samoukiem. W centrum zainteresowań jego wczesnej twórczości (np. w *Maantieta pitkin*, 1925) stoi życie ubogiej społeczności wiejskiej i robotników leśnych z północnej Finlandii, stron rodzinnych pisarza. Później powstaje szereg dzieł będących studium ludzkich postaw w dobie wczesnego kapitalizmu (m.in. *Kenttd ja kesarmi*, 1928). Skutki światowego kryzysu w Finlandii lat trzydziestych pokazał Haanpaa w powieści *Noitaympyrd* (1931).

Pentti Haanpaa jest również mistrzem krótkiej prozy. W przekładzie na język polski ukazał się tom jego opowiadań *Wędrujące buciory*, prezentujący dziewięć najlepszych opowiadań. Za najdojrzałe osiągnięcie artystyczne pisarza krytyka zgodnie uznaje powieść *Pomysł gubernatora* (*Jauhot*, 1949), w której autor dochodzi przyczyn sytuacji społeczno-ekonomicznej na wsi fińskiej przełomu XX wieku.